

DZIS I JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok XI.

Warszawa, 24 kwietnia 1955 r.



CK 9013

Nr 16 (490)

PRZYJAZŃ

BYŁ czas, kiedy Historię tworzyły wojny, a przyczyną służyły jedynie do przygotowania nowej agresji. Niektórzy historycy dopatrywali się w tym postępu ludzkości: wojna — twierdzili — popycha świat naprzód, a poza tym... jest dziejową koniecznością. Było to zjawisko szalenie obsesji; uporczywego nasuwania się agresorom jednej i tej samej myśli: siła oręża rozstrzyga o wszystkim.

Dzisiaj, kiedy wieki często tragicznych doświadczeń wpłynęły niemal na całą ludzkość w ten sposób, że pojęła ona, iż dalsze wywołanie konfliktów może ją zgubić i pozbawić wszelkich wartości moralnych, a przede wszystkim, zwłaszcza wobec możliwości zastosowania energii atomowej dla celów wojny, może oznaczać koniec cywilizacji — człowiek wyraźniej niż kiedykolwiek przedtem dostrzega konieczność stworzenia historii tylko w Pokoju i przez Pokój.

Humanizm twórczego wysiłku społeczeństw socjalistycznych, ich dążenie do budowy lepszego życia i przyjazna współpraca między sobą wzbudza niejednokrotnie podziw wśród narodów należących jeszcze do świata kapitalistycznego; zmusza wielu tamtejszych przywódców politycznych do dokonywania porównań, a niekiedy, jak na przykład w wypadku Bevana, do rewizji wyznawanych poglądów.

Nie dziwnym jest, że forma współpracy czy współpracy między krajami, które dążą do zapewnienia swoim obywatelom nie tylko jak najbardziej chleba, ale również — budując jasne domy, piękne parki i ogrody, jak najwięcej słońca i kwiatów — zaciekawia człowieka Zachodu. Niedługo bowiem jeszcze minął okres czasu, kiedy niedzielną z nas na kształtujące się przemiany społeczne, na nowe stosunki, jakie nawiązywałyśmy, po odzyskaniu niepodległości, z naszymi sąsiadami, a zwłaszcza ze Związkiem Radzieckim patrzył z równą ciekawością. Mimo, że ze Wschodu niesiono nam wolność, a czołgi znaczone pięciociermienną gwiazdą przelamywały opór Wehrmachtu, wyzwały nasze wieś i miasta, przybliżały Polskę ku Odry i Nysie — nie zawsze potrafiliśmy wówczas należycie ocenić ogrom wydarzeń.

Trwały jeszcze walki wokół Berlina, kiedy rządy Polski i ZSRR podpisały 21 kwietnia 1945 roku Układ o przyjaźni, pomocy wzajemnej i współpracy powojennej.

Mijały lata obfitujące w wielkie w naszym życiu wydarzenia. Czas mierzyliśmy podwójnie: według kalendarza i oddawanych do użytku obiektów, których praca miała uczynić byt łatwiejszym i bardziej dostępnym. Urządzenia dla Nowej Huty, Żerania, zgniatacz dla Huty Bobrek, wyposażenie w podstawowy sprzęt wielkich pieców huty im. Bieruta, dostawy rudy żelaznej, pomoc w ekspertyzie technicznej, uruchomienie Kędzierzyna — to fakty, to realne korzyści płynące z Układu. One właśnie umożliwiły szybszą realizację praw nowego życia. Pomogliśmy nam w tym Związek Radziecki.

Kto wie, czy właśnie dzisiaj, w roku, w którym plan 6-letni dobiega końca, nie warto zatrzymać się nieco dłużej nad tym doniosłym wydarzeniem sprzed dziesięciu lat.

Pierwszą konsekwencją Układu o przyjaźni były nowe granice Polski. Naród nasz oparł się na Zachodzie do Słupy Chrobrego; a na północny dotarł do 500-kilometrowego pasa Wybrzeża — szerokiego okna na świat. Granice nasze stykają się dziś z ziemiąmi przyjaciół. Po raz pierwszy od wielu wieków łączą nas z Niemcami, którzy wybrali postęp, więzy przyjaźni; w walce o nowe oblicze świata Niemiecka Republika Demokratyczna stała się naszym sojusznikiem. Socjalizm, opierając się na zasadach internacjonalizmu, zbliża kraje, które kiedyś były sobie wrogie.

Dawniej sojusze dzieliły narody. Zwykle tak bywało — w myśli zasady „równowagi sił”, w której zasady tkwiło zarzewie wojny — że jedno z państw zawierało sojusz z państwem ościnnym swego sąsiada, przeciwko któremu, z reguły, akt taki, był skierowany. Dzisiaj w świecie socjalistycznym, gdzie narody są członkami jednej wielkiej rodziny, sojusze nie dzielą, lecz łączą. W ostatnich latach wzajemne układy i porozumienia zostały zawarte między wszystkimi państwami obozu pokoju. Układ tego rodzaju opierał się przede wszystkim na wzajemnej pomocy zabezpieczającej rozwój ekonomiczny i kulturalny każdego z kontrahentów. I to jest właśnie druga zdobyczą płynącą dla

nas z paktu ze Związkiem Radzieckim.

Dzięki sojuszowi z krajem Rad uniżliwiliśmy losu państw zmarszczonych. Rozwijając przede wszystkim przemysł ciężki, który w późniejszym okresie dopomógł nam do uruchomienia na szerszą skalę produkcji przemysłu lekkiego, staliśmy się w ciągu dziesięciu lat przodującym krajem przemysłowym Europy. Wzrosła dzięki temu nasza obronność i znaczenie w świecie. Dzięki pomocy Związku Radzieckiego w stosunkowo krótkim czasie potrafilismy stać się krajem przemysłowo-rolniczym. Dzisiaj jesteśmy już państwem niemal zupełnie samodzielnym pod względem gospodarczym. Mając rozwinięty przemysł ciężki sami wytwarzamy maszyny i urządzenia dla innych przemysłów i rolnictwa. Sytuacja niemożliwa w okresie przedwojennym, choćby ze względu na to, że kapitał międzynarodowy upatrywał w nas tanią bazę surowcową dla własnego przemysłu — stała się możliwa zaledwie w ciągu dziesięciu lat od chwili ujęcia władzy przez lud. W budowie tego dzieła dopomógł nam nasz wschodni sojusznik.

Zastanawiające zjawisko — czy jednak Związkowi Radzieckiemu wychodzi na dobre tego rodzaju współpraca, rezygnowanie ze swego rodzaju monopolu w wielu dziedzinach produkcji? Pytanie to jest właściwie retoryczne, nie ma ono żadnych realnych podstaw. Współpraca między narodami socjalistycznymi nie jest zjawiskiem zastanawiającym, jest ona zjawiskiem zwykłym, powszednim. Wypływa z głęboko pojętego humanizmu, przyczynając się równocześnie do coraz szybszego rozwoju tego monolitu, jakim jest obóz socjalistyczny. Nie jest to jednak, lecz oczywistą prawdą, że rozwój jednego z państw socjalistycznych stanowi również — w pewnym stopniu — o rozwoju innych państw należących do tego obozu. Zmieniło się bowiem w socjalizmie działanie praw ekonomiki. Prawa te, w swych twórczych konsekwencjach, wychodzą poza obręb jednego narodu. Naród silniejszy, który poznał i zastosował ich mechanizm, pomaga narodowi słabszemu. To właśnie zjawisko także stanowi wielką zdobyczą przyjaźni ze Związkiem Radzieckim.

Jest wreszcie zdobyczą tej przyjaźni wzrost autorytetu Polski na arenie międzynarodowej. Przesła-

liśmy być krajem, z którym liczyło się tylko niewiele. Siła naszego potencjału gospodarczego i wzrost kultury — dokonane dzięki przeobrażeniu społecznemu — wyznaczają nam należne miejsce w świecie. Przedstawiciele Polski wchodzą w skład międzynarodowych Komisji. Polska organizuje wielkie imprezy kulturalne i sportowe. Do nas, by poznać się z naszymi osiągnięciami, przyjeżdżają delegacje z wielu krajów kapitalistycznych.

Mija obecnie dziesiąta rocznica Układu ze Związkiem Radzieckim. Rocznicą ta nie tylko pozwala nam podsumowywać dokonane dzięki pomocy bratniego narodu osiągnięcia, ale również każe wybiec myślą w przyszłość. Przyszłość nasza, mimo gromadzących się chmur na Zachodzie nie jest pozbawiona światła. Mamy dzisiaj tylu przyjaciół, ilu nie mieliśmy nigdy przedtem. Ziemię ich rozciągają się od Łaby aż po Morze Chińskie i trwałą dźwignię na Odrodzenie. Otrzymaliśmy zarówno gwarancje udzielone nam przed dziesięciu laty przez Związek Radziecki, jak również przyjaźń, pomoc i właściwie pojęty interes wszystkich narodów socjalistycznych. Problem Odry i Nysy jest już dzisiaj problemem całego obozu pokoju.

Obóz pokoju ciągle wzrasta na sile; musi zwiększać swą moc, by odeprzeć ewentualnego agresora. I chociaż ludzie pozbawieni wyobraźni usiłują kontynuować politykę „z pozycji siły”, grożąc przy tym użyciem bomby wodorowej, nie mogą zahamować rozwoju, który wytyczyła historia. Jej prawa i nakazy zaciągają obowiązując również w świecie kapitalistycznym; pojmują je — czasami instynktownie — szary człowiek i nie chce opóźnić postępu świata; postęp ten usiłuje natomiast zahamować jedynie cienka warstwa klasy rządzącej. Mimo ratyfikacji układów paryskich i coraz intensywniejszego uzbrajania nowego Wehrmachtu klasa ta napotyka na poważny opór ludności. Niemale znaczenie mają tu propozycje Związku Radzieckiego zawierające koncepcje pokojowego współistnienia. Ta wielka ofensywa pokojowa krajów socjalizmu zyskująca coraz więcej zwolenników — jest wyrazem wzrastającej nieustannie siły, w czym znaczną rolę odgrywa również przyjaźń Polski i Związku Radzieckiego.

ALFONS KLAFKOWSKI

NIEMCY W SYSTEMIE BEZPIECZEŃSTWA ZBIOROWEGO

ZDOŚWIADCZEŃ historii wynika, że problem zapewnienia bezpieczeństwa w Europie jest ściśle związany ze sprawą Niemiec. Te dwa zagadnienia wiążą się z sobą nierozdzielnie. W chwili obecnej z tych doświadczeń historii należy wysnuć zasadniczy wniosek, że tylko takie rozwiązanie problemu niemieckiego, które przyczyni się do utrwalenia pokoju w Europie, będzie trwałe i sprawiedliwe. Podczas konferencji berlińskiej w 1954 r. min. Molotow stornulował wnioski historii w zdaniu: że „w obecnych warunkach problem niemiecki powinien być rozwiązany w taki sposób, by wykluczona została możliwość podjęcia przez militarium niemiecki nowych prób rozpetania trzeciej wojny światowej. Oznacza to, że rozpatrzenie problemu niemieckiego jest nierozdzielnie związane z zapewnieniem bezpieczeństwa w Europie”. Pod koniec 1954 roku podczas moskiewskiej konferencji w sprawie bezpieczeństwa zbiorowego przewodniczący delegacji polskiej ujął ten sam wniosek w zdaniu: „Świat jest za ciasny, by pomieścić jednocześnie wolne narody i militarium niemiecki”.

Kto jest powołany do rozwiązania problemu niemieckiego zgodnie z doświadczeniami historii? Nie może ulegać wątpliwości, że szczególną odpowiedzialność za właściwe rozwiązanie problemu niemieckiego spoczywa na czterech mocarstwach. Cztery mocarstwa mają w stosunku do Niemiec określone odpowiedzialności i określone obowiązki. Wynikają one z tych aktów prawa międzynarodowego, które zawierają wzajemne zobowiązania czterech mocarstw do współpracy i konsultowania się nawzajem — zarówno podczas wojny, jak i w czasie pokoju. Z tych aktów prawnych wynika, że cztery mocarstwa

świadomie przyjęły zobowiązanie do jednomyślnego działania, które stanowi podstawę pokoju i bezpieczeństwa świata. Wynika z nich dalej, że jednosc działająca czterech mocarstw przyjęta została jako zasada zarówno przy likwidacji wojny, jak i przy likwidacji skutków wojny.

W tym zakresie cztery mocarstwa miały do rozwiązania następujące zadania:

- 1) Doprowadzenie do klęski hitlerowskiej Rzeszy w jak najkrótszym czasie i przy możliwie najmniejszych stratach ze strony Narodów Zjednoczonych. Cel ten przewiła się przez liczne umowy międzynarodowe, cel ten miał być osiągnięty przez jak najszybsze łączne zakończenie działań wojennych przez wszystkie mocarstwa oraz inne państwa, znajdujące się w stanie wojny z Niemcami.
- 2) Zorganizowanie okupacji i kontroli Niemiec po zwycięstwie na takich zasadach, aby zniszczyć całkowicie militarium niemiecki i hitlerizm. Dążenie do realizacji tego celu przewiła się przez wszystkie kluczowe akty prawa międzynarodowego — a znajduje swe ukończenie w umowach: jaltańskiej i poczdamskiej.
- 3) Dalsza budowa podstaw międzynarodowego porozumienia, które winno przynosić porządek i bezpieczeństwo po chaosie wojennym. Zgodą mocarstw miało uczynić pokój trwałym i oddalić na szereg pokoleń klęskę i grozę wojny. Podstawę ładu powojennego stanowiło odrzucenie wszelkiego podziału świata na „stery wpływów”.

Te zadania znalazły swe refleksy w licznych umowach dwustronnych, zawartych podczas II wojny światowej i po niej. Elementy bezpieczeństwa występują w tych umowach w postaci klauzul zakazujących nawijazywania rokowań z rządem hitlerowskim oraz z każdym innym rządem w Niemczech, który nie wyzycykby się wyraźnie wszelkich zamiarów agresywnych. W umowach tych zawarte są również zobowiązania niezawierania zawieszenia broni, ani traktatu pokoju z Niemcami, lub z państwami sojusznymi z nimi w aktach agie-

sji w Europie. Na okres po zakończeniu działań wojennych umowy te wykluczają możliwość koaliczowania się dla celów agresji z Niemcami lub innymi ich sojusznikami.

ZPERSEPTYWY dziesięciu lat minionych nie może ulegać wątpliwości, że tylko zgodne porozumienie czterech wielkich mocarstw w oparciu o umowę poczdamską może usunąć groźbę odrodzenia militarium niemieckiego — niebezpieczeństwo zarówno dla wschodnich jak i zachodnich sąsiadów Niemiec. Kompetencje wielkich mocarstw do likwidacji militarium niemieckiego w interesie wszystkich narodów znajdują swój pełny wyraz w umowie poczdamskiej. Program poczdamski, to wyrwanie z korzeniami militarium i hitleryzmu — jak się dosłownie ta umowa wyraża — żeby osiągnąć pewność, iż Niemcy już nigdy więcej nie staną się groźbą dla swych sąsiadów, albo dla pokoju świata. Jednocześnie umowa poczdamska podkreśla, że nie leży w zamiarze mocarstw zniszczenie narodu niemieckiego lub obrócenie go w naród niewolników. Naród niemiecki ma uzyskać sposobność do przebudowy swego życia na podstawie demokratycznej i pokojowej. Jeżeli własne wysiłki narodu niemieckiego będą stałe w tym kierunku zwrócone, to najmniej w odpowiednich warunkach swe miejsce wśród wolnych i miłujących pokój ludów świata.

Berlińska konferencja czterech mocarstw z 1954 r. udzieliła wyraźnej odpowiedzi na pytanie — czy program poczdamski może stanowić obecnie podstawę dla dalszej współpracy tych mocarstw — czy postanowienia umowy poczdamskiej w sprawie pokojowej i demokratycznej drogi rozwoju Niemiec zachowują obecnie swą moc. Doku-

Wiersze ukraińskie

MAKSYM RYLSKI

Przed pomnikiem Mickiewicza

Nie wzniosłeś ty się ponad nami
jak pomnik niedosięgły oczom;
ty razem z nami, nasz Adamie,
W dni nieśmiertelne nasze kroczyś.

Tyś z Aleksandrem, tyś z Tarasem
przewidział przyszłych burz odmetę
i nie pokryje się rdzą czasu
śpiew wajdelotów nieugięty.

Nie tylko jesteś „trudem trudów”,
nie tylko chwatać ponad chwałę —
to ty ze swej „trybuny Ludów”
sercami ludów w krąg wstrząsałeś

I gdy na naszym człowiek globie
w wspólnej jednoczy się rodzinie,
rozbrzmiewa dziś w odrodzeń dobie
tym dumniej twoje, wieszczu, imię.



PAWEŁ TYCZYŃA

Flota powietrzna

Dziewczynka na przyźbie:
cip-cip-cip.
Pies na łańcuchu.
W powietrzu pełno ruchu.

Wybiega matka z ogrodu —
w powietrzu pełno ruchu —
— Oj, toż to burza, burza! —
w powietrzu pełno ruchu.

— Nie, mamo, to nie burza,
czytałam: to jest flota. —
A matka drży ze strachu,
bydło ryczy w popłochu.

A niebem się toczyło
setki kręgów jak fale,
a potem zawróciło
i szum się już oddalił

! szum się już oddalił.

przełożył K. A. Jaworski



Rys. Bohdan Sleskin

mentacja i ekspertyzy prawne przedstawione w 1954 r. Trybunałowi Konstytucyjnemu w Karlsruhe w związku z procesem rządu berlińskiego przeciwko KPD dostarczają również bogatej argumentacji przemawiającej na rzecz trwałej wartości prawnej programu poczdamskiego. W świetle tej dokumentacji z 1954 roku można sformułować następujące wnioski:

- 1) Jest rzeczą niesporną, że umowa poczdamska obowiązuje jako umowa prawa międzynarodowego.
- 2) Dyskusja między przedstawicielami czterech mocarstw toczyła się na zasadzie uznania programu poczdamskiego. Umowa poczdamska jest różnie interpretowana przez mocarstwa zachodnie — zresztą od 1946 roku, żeby przypomnieć chociażby przemówienie Byrnesa. Obecnie polityka Departamentu Stanu USA pragnie podważyć podstawy prawne umowy poczdamskiej drogą okrężną — godząc w podstawy umowy jaltańskiej w głosnej publikacji trzytygodniowych dokumentów z konferencji krymskiej. Ale trzeba tutaj dodać, że mocarstwa zachodnie, a zwłaszcza Stany Zjednoczone, wyłączały z umowy poczdamskiej maksymalne korzyści, po czym chciałyby się tej umowy pozbawić. Z prawnego punktu widzenia trzeba nadto podkreślić, że umowa poczdamska jest umową bezterminową i nie przewiduje możliwości jej wypowiedzenia.
- 3) Polityka mocarstw zachodnich jest w wielu kluczowych punktach sprzeczna z postanowieniami umowy poczdamskiej. Trzeba to podkreślić — że mimo tej sprzeczności, a raczej właśnie dlatego, że mocarstwa zachodnie działają wbrew umowie poczdamskiej — nie są one w stanie rozwiązać problemu Niemiec.
- 4) Podkreślając elementy zgodności i współdziałania czterech mocarstw z okresu formułowania umowy poczdamskiej nie należy zapominać, że w polityce mocarstw zachodnich jest szczególnie jaskrawość zarysowująca się na tym odcinku rozbieżność między deklaracjami a efektywną polityką tych mocarstw. W świetle minionego dziesięciolecia widac z całą jasnością, że deklaracje mocarstw zachodnich na temat zgodnego współdziałania czterech mocarstw w Niemczech sprowadzają się w znacznej mierze do zgodności formalnej — podczas gdy czynny tych mocarstw przecza ich słowom. O zgodności materialnej zatem nie można mówić.

KONKRETYZACJĘ podstawowych wytycznych poczdamskich w dziedzinie nowej sytuacji w Europie zawiera projekt układu o bezpieczeństwie zbiorowym w Europie, zgłoszony przez ZSRR na konferencji berlińskiej dnia 10.II.1954 r. i uzupełniony później nowymi elementami na temat podjęcia kroków zmierzających do rozszerzenia handlu i innych form współpracy gospodarczej między państwami. Projekt ten konkretyzuje również w zastosowaniu do sytuacji europejskiej niezbędne warunki pokojowego współistnienia państw, niezależnie od ich ustroju społeczno-gospodarczego. Przyjęcie tych zasad bezpieczeństwa zbiorowego w Europie miałyby bezpośrednie znaczenie dla pokojowego rozwiązania problemu niemieckiego. Należy tutaj podkreślić, że radziecki projekt zawiera takie typowe dla organizacji bezpieczeństwa zbiorowego zasady, jak: zobowiązanie do powstrzymania się od wszelkiej napaści oraz od groźby lub zastosowania siły, zobowiązanie do pokojowego regulowania sporów, do wzajemnego konsultowania w wypadku groźby napaści zbrojnej, zobowiązanie do wzajemnej pomocy w trybie samoobrony indywidualnej lub zbiorowej.

Analiza radzieckiego projektu układu o bezpieczeństwie zbiorowym w Europie pozwala sformułować następujące wnioski:

- 1) Układ taki położyłby kres rozbieżności między mocarstwami, których istnienie jest główną przeszkodą na drodze pokojowego rozwiązania problemu niemieckiego. Układ taki stworzyłby warunki pokojowego współistnienia państw o różnym ustroju — pozostawiając również sprawę ustroju Niemiec wewnętrznej kompetencji tego państwa.
- 2) Układ o bezpieczeństwie zbiorowym w Europie upowszechnia podstawowe zasady dwustronnych umów międzysojusznymi.

(Dokończenie na str. 2)

Zieleno Lenina PRAWO MONOKULTURY

O CZYWIŚCIE ta zbieżność jest przypadkowa i sama przez się nie jest jeszcze nie wyjaśniona, ani niczego nie dowodzi. Urodził się przed 85 laty w Symbirsku, dalekim, położonym gdzieś na krańcach Europy miasteczku. W niespełna rok później, w jej sercu, w ustalony i zdawać by się mogło — niewzruszony porządek społeczny burzący uderzył pierwszy podmuch nadszyciwej burzy. Ulice Paryża pokryły się nowymi barjakami. Ale odmienne niż dawniej hasła wzywały lud do walki. Po raz pierwszy w historii proletariatu wystąpił jako samodzielna siła, z własnymi żądaniami i programem — po raz pierwszy osmielił się sięgnąć po pełnię władzy.

Wydarzenia paryskie roku 1871 były jednym z symptomów początków nowej fazy w rozwoju kapitalizmu. Słusznie przyjmuje się, że lata siedemdziesiąte ub. stulecia stanowią linię graniczną oddzielającą epokę „wolnej konkurencji” od imperializmu. Były to bowiem lata, w których miłką ostatecznie i bezpowrotnie echa burzozwycięstwa „Sturm und Drang Perzudin”. Szybki krokami zbliżał się „fin de siècle” tej ognis dynamicznej klasy. Można go było odczuć w nerwowych poszukiwaniach mieszczańskich filozofów, coraz bardziej dalekich od rzeczywistości, w pełnej niepokoju twórczości poetów. A za fasadą pozornej dobrobytu, zwątpiwszy w obietnice bernsteina i millerandów, ludzie ze „szczylnych zaułków” coraz częściej wspominali tradycje Komuny. Był to czas, kiedy imperializm, jeszcze „pokojowy”, jeszcze rosnący zaborami ziem „niczych”, dojrzał do cyklu swych przyszłych zbrodni. Wraz z nim, ale przeciw niemu, dojrzała siła i świadomość proletariatu. Wraz z nim, ale przeciw niemu, dojrzał młody Włodzimierz Uljanow-Lenin.

Wychowany w środowisku postępowej inteligencji, już od lat wczesnej młodości nasiąkał ideami społecznego wyzwolenia człowieka. Gorliwy czytelnik postępowej literatury, bystry obserwator ówczesnej rzeczywistości rosyjskiej, która sam nazwał później latami „wyuzdanej, nieprawdopodobnie bezmyślniej i bestialskiej reakcji”, w krótkim czasie decyduje się na podjęcie aktywnej walki z caratem. Decyzję jego przyspiesza śmierć starszego brata-narodnicowca, powieszono go za udział w przygotowywaniu zamachu na cara Aleksandra III. Rewolucyjna droga Lenina była jednak drogą inną. Występował przeciw błądom przeszłości. Przejęty nauką Marksa i Engelsa, której wiernym wyznawcą i twórczym interpretatorem pozostał do końca, uąpił w skutecznych terrorystycznych metodach walki. Rewolucji nie dokona garstka choćby najbardziej szlachetnych i pełnych poświęcenia, ale rozmiłujących się z logiką rozwoju historycznego spiskowców. Lenin — dziecko swej epoki, ślepił pilnie jej bieg, wyczuwał jej tętno, stał się jej biografem, po to, by położyć jej kres i założyć podwaliny nowej. Październik 1917 roku wienicy dzieło jego życia. Po czterdziestu sześciu latach, przedczwernym nadzieje komunistów urzeczywistniły się na jednej szóstej części globu.

Niedługo potem Lenina nie było już wśród żyjących. Nie dość powiedzieć, że zadał on śmierć materializmowi, że przostawiał drogi rewolucji, uzbudził ją w niezawodny oręż, że był człowiekiem, który zwyciężył i przetrwał swoją epokę. Będą to określenia ogólnikowe, nie oddające w pełni jego roli w historii. Bo zastanawiamy się jeszcze — coż to za epoka? Jaka jest miara tego zwycięstwa?

Imperializm jest nie tylko wyższą fazą kapitalizmu, znaną jako jego schyłek. Wraz z nim, pod naporem przede wszystkim klasy robotniczej, będącej współcześnie wykonańczą praw rządzących biegiem ludzkich dziejów, odchodzi w przeszłość również pewna cywilizacja, znacznie bardziej niż kapitalizm, sędziwa: cywilizacja oparta na istnieniu nierówności klasowych. Chcąc jej oddać sprawiedliwość nie można upaść w przesadę. Była ona zjawiskiem koniecznym. Stworzyła wielkie wartości, zarówno materialne, jak i duchowe, bez których ludzkość nie mogłaby uczynić dalszego kroku naprzód. Ale tworząc dzieła na swoją miarę wielkie, wzrosła się zarazem na fundamentach krzywdy społecznej, czerpała soki żywotne z wysiłku człowieka przez człowieka. Ubrającą go w coraz doskonalsze środki ujarzmania przyrody, zwracała jej zarazem — jeszcze po dziś dzień — przeciw niemu samemu. Człowiek, żyjąc w kręgu działań jej praw, nie pawał nad swymi własnymi wytworami, które wymyślając się spod jego kontroli działały z niszczącą siłą ślepego żywiołu. Cywilizacja ta należała jeszcze w istocie — wbrew świętym nieraz pozorom i rzeczywistym wartościom — do prehistorii rodzaju ludzkiego, niedolnego do świadomego kształtowania swoich losów, wyniszczającego się w walce rozdzierających go przeciwnościach klasowych.

Narodziny nowej epoki, związane na zawsze z imieniem Lenina, są zarazem początkiem stopniowego wzrostu nowej cywilizacji: bezklasowej cywilizacji pracy, opartej na świadomości i celowym, służącym całemu społeczeństwu, a nie tylko jego uprzywilejowanej części, wykorzystywaniu praw rządzących obiektywną rzeczywistością świata. W zestawieniu z poprzednią epoką, poprzednią cywilizacją, jest to przewrót przestający partycularne interesy jednej klasy. Lenin, który był jego teoretykiem, inicjatorem i przywódcą, udowodnił nie tylko możliwość spełnienia wyzwoleńczej dążeń klasy robotniczej. Udowodnił również, że ludzkość może przekroczyć próg swej własnej historii.

Ocena człowieka nie może kształtować się w oderwaniu od jego dzieła. Dzieło Lenina, widziane w obu tych aspektach, wplecione w kanwę historii, nosi na sobie piętno prawdziwej wielkości.

Powinno być ono również punktem wyjścia do oceny postaci Lenina z pozycji światopoglądu katolickiego. Narodził się wokół niego wiele uprzedzeń. Co prawda uprzedzenia te nader często dyktowane były pozadoktrynalnymi uwarunkowaniami klasowymi. Są jednak i takie, które płyną z niepokojów wywołanego różnicą poglądów na świat. Lenin zawsze podkreślał sine zdecydowanie materialistyczne stanowisko.

Nie leży w ludzkiej mocy wyrokowanie o zamierzeniach Bożych. Spełniają się one nieraz wbrew ludzkiem, najbardziej — zdawać by się mogło — uargumentowanym wywiodom. „Bóg pisze prosto po liniach krzywych”.

Wysiłkiem własnego umysłu możemy natomiast stwierdzić, że dzieło Lenina jest zgodne z prawdą historyczną. Świadczy o tym już sam fakt, że ludzkość w coraz to wzrastającym stopniu żyje w kręgu jego konsekwencji.

Był wierny historii. Tworzył ją, zgodnie z duchem jej praw. A wiemy, że wierność historii, jakiekolwiek byłyby pobudki kierujące działaniem, nie może być obojętna wierzącym w jej Stwórcę.

Wojciech Wieczorek

NIEDAWNO wysyłano na naszych ekranach wstrząsający film argentyński pt. „Cienna rzeka”. Akcja jego rozgrywa się na planatacjach „Yerba mate”. Zatrudnieni na tych planatacjach robotnicy, pracują w niezwykłych ciężkich warunkach. Za mieszkaniem służą im nędzne lepianki, za pożywieniem — lica strawa. Zdrowie ich zżera parana kapitalistyczna monokultura — „Yerba mate” — monokultura, która zmienia całe regiony a nieraz i kraje na wielkie arealy, ograniczając uprawę do jednej tylko rośliny.

Z tego właśnie względu kraje środkowo-amerykańskie noszą miano republik bananowych. Stare Południe, kraina rozciągająca się na północ od Nowego Orleanu, nazwana jest „cotton belt”, czyli „pasem bawelinowym”.

Obrzyny smażki ziemi pokryty kwitnącą bawelną albo gajem pachnących krzewów bananowych, zwanych przez meysów platanos, nie budzi w przybyciu grozy, raczej urzeka. Dopiero, gdy obcy przybysz pozna potworną maszynę kapitalistycznej monokultury, gdy ujrzy, jakie wywołuje ona skutki społeczne, wówczas smak banana staje się gorzki, a kwitnący krzak bawelny wydaje się groźną dzunglą. Zajmijmy się nieco bliżej sprawą monokultury. Zaczynijmy od Stanów Zjednoczonych, od wspomnianego Starego Południa.

Po obu stronach wielkiej Missisipi rozciąga się zielona dolina nazwana przez miejscową ludność ziemniakiem. Nazwa ta jest w pełni uzasadniona, gdyż bowiem czyni tu powożące spustoszenie, narzuca swoje bezwzględne prawo tysiącom mieszkańców. Przejawia się on m.in. w tym, że tylko 27% ludności ziemi Wujia Toma odżywia się normalnie; reszta wskutek wadliwego pożywienia cierpi na brak witamin i składników mineralnych, co wywołuje takie choroby, jak beri-beri i pelagra. Człowiek musi tu umierać całe życie, które na ogół... jest dość długie. Niektórzy demografowie i ekonomiści amerykańscy twierdzą, że ta „długowieczność” jest oznaką dobrobytu. Jednakże nie świadczy chyba o wysokiej siopej życiowej fakt, że co czwarty mieszkaniec stanu Tennessee, Arkansas i Missisipi zapada na pellagę, a wiele tysięcy ludzi umiera każdego roku na szkorbut.

A przecież początek był niezwykle pomyślny. Pierwsi osadnicy w okolicach Jamestown zaczęli uprawiać kukurydzę, fasolę, pataty, dynie, melony i tuskawki. Rozwój kolonii zaczął radować jak najlepsze nadzieje, jednak nie dla metropolii, której tego rodzaju produkcja rolna przynosiła zbyt mało korzyści. Więc, po kilku latach eksperymentów i doświadczeń, wprowadzili Anglicy tuż podstawowe uprawy przeznaczone do przerobu dla fabryk brytyjskich: tytoń, trzcinę cukrową, a przede wszystkim bawelnę. Równocześnie z tą zmianą ekonomiki rolnej zaczęły powstawać wielkie gospodarstwa-plantacje, wypierając drobnych właścicieli. Proces ten, z pewnymi zmianami, trwa do dziś. Monokultura zawałowała zrywnymi ziemiami „Starego Południa”. Wielcy plantatorzy, skupiając w swych rękach coraz więcej akców przeznaczonych głównie pod uprawę bawelny przyczynili się do zaniku hodowli roślin, bogatych w witaminy i składniki mineralne, a stanowiących dawniej podstawowe pożywienie mieszkańców. Wskutek tego wytworzyła się w pewnym stopniu paradoksalna sytuacja, że żyjne Południe musi importować żywność z mniej żyznej Północy.

Sprzecznici są jednak nieodłączną cechą gospodarki kapitalistycznej, wypływają z jej istoty. Zywiołowa produkcja w przemyśle prowadząca do boomu, a potem do... nadprodukcji, ma swoje źródło w dawno poznanej i odkrytej już przez Marksa prawdzie ujawniającej równocześnie jedną z największych sprzeczności kapitalizmu — w społecznym charakterze produkcji i prywatnej własności środków wytwórczych. Nic więc dziwnego, że monokultura, będąca równocześnie formą monopolizowania ziemi, sprządza oplakane skutki społeczne dla tysięcy peonów i cropperów. Ona to właśnie, jako wyraz stosunków kapitalistycznych, sprawia, że ludność drobno farmerska — Stanów Zjednoczonych, a zwłaszcza rejonów nią dotkniętych zmniejsza się z każdym rokiem o 200 tys. osób. Amerykańscy ekonomiści usiłują udowodnić, że ten niezwykły, ze względu na swoje napięcie i tempo proces jest wynikiem naturalnych warunków, a bynajmniej nie stosunków społecznych i, że rzekomo, nie świadczy o upadku rolnictwa. Proces ten nazywają oni „normalnym przesunięciem demograficznym”, a jeden z nich, Edwin North pisze, że odbywa się to „dzięki wzmożonej urbanizacji kraju w ciągu ostatnich 150 lat”. Jednak przyczyną tego zjawiska, wbrew poglądom ekonomistów z „Columbia University”, jest po prostu ubożenie drobnych farmerów, które zwłaszcza w rejonie monokultury bawelny wystąpiło w najbardziej ostrej formie. Zresztą świadczy o tym również podniesienie renty gruntowej, która w ciągu ostatnich 15 lat wzrosła o 300 mil. dol. Znamienna w tym względzie jest wypowiedź Life'u, które to pismo, broniąc interesów wielkich plantatorów, domaga się „zlikwidowania 3,8 mil. nie rentownych albo deficytowych ferm”, co jakoby ma przyspieszyć „urbanizację”. Przeciwno tak pojętemu procesowi urbanizacji świadczy również pewna, zresztą podstawowa przemiana ekonomiczno-społeczna, jaką możemy zaobserwować w Związku Radzieckim, a polegająca na tym, że — obok ilościowego i potencjalnego wzrostu wielkich ośrodków przemysłowych — wieś, pod względem struktury gospodarczej, dzięki stosowaniu nowoczesnej techniki będącej udziałem wszystkich jej mieszkańców, zbliża się coraz bardziej do miasta. Jest to rezultat postępu i rozwoju; nie masowa emigracja ludności do miast, lecz powolne, aczkolwiek nieustanne, zacieranie różnic między miastem a wsią, dokonujące się w drodze jej przeobrażeń gospodarczych, społecznych i kulturalnych, przy aktywnej pomocy ośrodków miejskich.

Monokultura w Stanach Zjednoczonych nie wywołuje tak zatrażających szkód natury gospodarczej i biologicznej, jak np. w krajach kolonialnych i zależnych, a m.in. w państwach Południowej i północno-wschodniej Ameryki, będących pod wszechwładnymi wpływami monopolu: bananowego w Gwatemali, Panamie, Salwadrze, kukurydzianego na Kubie i Jamajce, cukrowego w Brazylii itd.

„Aquí, Aquí, la seda legitima de Francia y la mas barata”. (Tutaj, tylko u mnie, dostać można prawdziwy jedwab francuski po najniższej cenie) — zachwala swój towar sprzedawca uliczny w jednym z miasteczek Ameryki Łacińskiej. Nie on jednak zwraca uwagę obcego przybysza. Cudzoziemca zdumiewa raczej inny przebieg, który ofiaruje amerykańską margarynę, mięso w proszku i mąkę maniókową. Eldorado, wysniona, bogata w złoże i bujną jadalną roślinność, kraina konkwistadorów nie może wyżyć stonkowo nielicznej ludności! Czyżby Wiliam Vogt miał rację, mówiąc o zmniejszającej się wydajności gleby, jako czynnika ogólnego ubożenia? Nie, przyczyna tkwi — jak mówi postępowy amerykański dziennikarz Webb — w monokulturze. Businessmanom chodzi o to, aby przy jak najmniejszych kosztach produkcji osiągnąć maksymalnie wysoki zysk. Monokultura, bez względu na to, czy chodzi o produkcję bananów, trzcinę cukrową, czy bawelnę — oparta na nieskomplikowanych procesach uprawy — zapewnia taki własny wynik produkcji, a równocześnie w swych skutkach społecznych stanowi świadectwo nędzy robotników plantacyjnych. O rozmiarach tej nędzy świadczy najlepiej dochód narodowy, który we wszystkich krajach Ameryki Łacińskiej razem wziętych jest dziesięciokrotnie niższy od dochodu narodowego Stanów Zjednoczonych. Najważniejsze, że zewnętrzne objawy takiego „układu ekonomicznego” sprowadzają się do tego, że eksport kraju zależnego składa się z reguły z kilkunastu, a nawet z jednego surowca. Natomiast import tego kraju jest bardzo zróżnicowany, gdyż musi on sprowadzać wszelkiego rodzaju artykuły konsumpcyjne, które właśnie ze względu na rozpoznanie się monokultury nie mogą być na miejscu wytwarzane. Poza tym, w kraju wyzyskiwanym pozostaje jedynie część kapitału ziemnego w postaci niskich wynagrodzeń, jakie otrzymują miejscowi robotnicy, a niemal cała wartość dodatkowa przenika do banków zagranicznych.

Na Kubie, gdzie produkcja rolna ogranicza się wyłącznie do uprawy tytoniu i trzcinę cukrowej, a plące rolne są niezwykle niskie, wyzyskanie ludności należy do nuboższych na świecie. Na podstawie ba-

dań, które przeprowadził Oswald Patone stwierdzono, że wiele kubańskich rodzin składających się np. z 5 osób, musi zadowolić się ilością kalorii wystarczającą zaledwie dla jednego człowieka. Nic więc dziwnego, że takie choroby, jak wole epidemiczne, anemia i odwapnienie kości zbierają bogate żniwo na tej wyspie Kolumba.

Dla lepszego zilustrowania tragicznych skutków nadmiernego rozwoju monokultury posłużmy się przykładem zaczerpniętym z głosej już książki De Castro pt. „Geografia głodu”. W czasie gorączki cukrukowej w Brazylii, na początku bieżącego stulecia, rozpanoszyła się w dorzeczu Amazonki w niespotykanych rozmiarach epidemia beri-beri. W latach tych ku najdłuższej rzecze światła napływały tysiącami poszukawcze „czarnego złota”, „Toczył sok z drzew” i sprzedawali go za wysokich cenach. I nagle, gdy zwycięstwo nad dzunglą zdawało się niemal pewne, pojawiła się straszliwa choroba. Zdobycy Amazonki, odzyskując się importowanymi z Europy konserwami, powracali do nadbrzeżnych miast Oceanu... na noszach, a wielu z nich pozostało na zawsze wśród bujnej zieleni podzwrotnikowej. Przyczyną epidemii stało się nieodpowiednie, ubogie w witaminy pożywienie. Gdy jednak, wskutek założenia bardziej zyskowych plantacji na Dalekim Wschodzie czarny produkt Amazonki stał się mniej atrakcyjny, a mieszkańcy powrócili do uprawy kukurydzy i jarmy oraz zajęli się rybołówstwem — beri-beri przestał nękać człowieka.

Monokultura rozpowszechniła się również w Afryce, zwłaszcza w jej zachodniej części: w Gambii, Sierra Leone, Togo i Kamerunie. Na przykład w Gambii plantacyjna uprawa orzeszków ziemnych spowodowała, że podstawowe artykuły żywnościowe — dostępne zresztą tylko dla warstw bardziej zamożnych — mu-

stosunki zarówno Polska, jak i NRD wnoszą poważny wkład na rzecz europejskiego bezpieczeństwa.

W interesie pokojowego uregulowania problemu niemieckiego i bezpieczeństwa zbiorowego w Europie — Polska współdziała z innymi państwami pokojowymi i przejawia swą inicjatywę na konferencjach międzynarodowych, w ONZ itp. W sprawie tych występuje Polska bezustannie w płaszczyźnie rzeczywistej w dziele budownictwa pokoju i bezpieczeństwa międzynarodowego.

JEDYNIENIE powrót do podstawowych zasad umowy poczdamskiej i innych układów międzysojuszniczych może zawrócić rozwój sytuacji w Niemczech i w Europie z drogi groźnej dla pokoju i bezpieczeństwa.

W obecnej fazie rozwoju historycznego — w 10 lat po kapitulacji Niemiec — zasady poczdamskie znalazły swój konkretny wyraz w dwóch projektach radzieckich, a mianowicie w projekcie podstaw traktatu pokoju z Niemcami oraz w projekcie układu o bezpieczeństwie zbiorowym w Europie.

Projekt podstaw traktatu pokoju z Niemcami przedstawiony został po raz pierwszy w nocie rządu ZSRR z dnia 10.III.1952 r. Pewne poprawki do tego projektu zostały zgłoszone na konferencji berlińskiej w 1954 r. Rzeczą charakterystyczną, że rządy trzech mocarstw zachodnich nie zajęły stanowiska wobec radzieckiego projektu podstaw traktatu pokoju z Niemcami. Mocarstwa zachodnie zaczęły jedynie punkt, dotyczący zakazu przystępowania Niemiec do koalicji wojskowej o charakterze zamkniętym. W tym wyraża się troska mocarstw zachodnich o realizację układów londyńsko-paryskich z 1954 r.

Warto w tym kontekście podkreślić wyniki międzynarodowego spotkania parlamentarzystów różnych państw, które odbyło się dnia 6.II.1955 r. w Warszawie. Komunikat ogłoszony po tej konferencji określa podstawę, na której może być osiągnięte porozumienie w sprawie Niemiec. Podstawą ta obejmuje następujące trzy punkty:

1) Jednoczesne wycofanie z Niemiec wszystkich wojsk okupacyjnych; w tym wypadku ZSRR wycofały swe wojska na własne terytorium. ZSRR wycofały również wszystkie radzieckie oddziały wojskowe, które ochraniały w Polsce linie komunikacyjne, stacjonujących w Niemczech radzieckich wojsk okupacyjnych. Te wszelkie kroki przyczyniły się do stworzenia atmosfery odprężenia w Europie.

2) Zjednoczenie Niemiec w drodze wolnych i kontrolowanych wyborów, które zostałyby przeprowadzone na podstawie ordynacji wyborczej gwarantującej wszystkie swobody demokratyczne, jak to przewidział plan zaproponowany w Berlinie przez Edena.

3) Poznanowanie zobowiązań powziętych w skład żadnej koalicji wojskowej, a niekwalifikację ich granic; zostałyby gwarantowane przez inne państwa europejskie i przez Stany Zjednoczone.

Komunikat powyższy świadczy o słuszności i realności twierdzenia, że istnieją niewyczerpane jeszcze możliwości porozumienia i uzgodnienia stanowiska wszystkich zainteresowanych rządów w sprawie pokojowego rozwiązania problemu niemieckiego na podstawie wzajemnych ustępstw.

W czasie gorączki cukrukowej w Brazylii, na początku bieżącego stulecia, rozpanoszyła się w dorzeczu Amazonki w niespotykanych rozmiarach epidemia beri-beri. W latach tych ku najdłuższej rzecze światła napływały tysiącami poszukawcze „czarnego złota”, „Toczył sok z drzew” i sprzedawali go za wysokich cenach. I nagle, gdy zwycięstwo nad dzunglą zdawało się niemal pewne, pojawiła się straszliwa choroba. Zdobycy Amazonki, odzyskując się importowanymi z Europy konserwami, powracali do nadbrzeżnych miast Oceanu... na noszach, a wielu z nich pozostało na zawsze wśród bujnej zieleni podzwrotnikowej. Przyczyną epidemii stało się nieodpowiednie, ubogie w witaminy pożywienie. Gdy jednak, wskutek założenia bardziej zyskowych plantacji na Dalekim Wschodzie czarny produkt Amazonki stał się mniej atrakcyjny, a mieszkańcy powrócili do uprawy kukurydzy i jarmy oraz zajęli się rybołówstwem — beri-beri przestał nękać człowieka.

Monokultura rozpowszechniła się również w Afryce, zwłaszcza w jej zachodniej części: w Gambii, Sierra Leone, Togo i Kamerunie. Na przykład w Gambii plantacyjna uprawa orzeszków ziemnych spowodowała, że podstawowe artykuły żywnościowe — dostępne zresztą tylko dla warstw bardziej zamożnych — mu-

stosunki zarówno Polska, jak i NRD wnoszą poważny wkład na rzecz europejskiego bezpieczeństwa.

W interesie pokojowego uregulowania problemu niemieckiego i bezpieczeństwa zbiorowego w Europie — Polska współdziała z innymi państwami pokojowymi i przejawia swą inicjatywę na konferencjach międzynarodowych, w ONZ itp. W sprawie tych występuje Polska bezustannie w płaszczyźnie rzeczywistej w dziele budownictwa pokoju i bezpieczeństwa międzynarodowego.

JEDYNIENIE powrót do podstawowych zasad umowy poczdamskiej i innych układów międzysojuszniczych może zawrócić rozwój sytuacji w Niemczech i w Europie z drogi groźnej dla pokoju i bezpieczeństwa.

W obecnej fazie rozwoju historycznego — w 10 lat po kapitulacji Niemiec — zasady poczdamskie znalazły swój konkretny wyraz w dwóch projektach radzieckich, a mianowicie w projekcie podstaw traktatu pokoju z Niemcami oraz w projekcie układu o bezpieczeństwie zbiorowym w Europie.

Projekt podstaw traktatu pokoju z Niemcami przedstawiony został po raz pierwszy w nocie rządu ZSRR z dnia 10.III.1952 r. Pewne poprawki do tego projektu zostały zgłoszone na konferencji berlińskiej w 1954 r. Rzeczą charakterystyczną, że rządy trzech mocarstw zachodnich nie zajęły stanowiska wobec radzieckiego projektu podstaw traktatu pokoju z Niemcami. Mocarstwa zachodnie zaczęły jedynie punkt, dotyczący zakazu przystępowania Niemiec do koalicji wojskowej o charakterze zamkniętym. W tym wyraża się troska mocarstw zachodnich o realizację układów londyńsko-paryskich z 1954 r.

Warto w tym kontekście podkreślić wyniki międzynarodowego spotkania parlamentarzystów różnych państw, które odbyło się dnia 6.II.1955 r. w Warszawie. Komunikat ogłoszony po tej konferencji określa podstawę, na której może być osiągnięte porozumienie w sprawie Niemiec. Podstawą ta obejmuje następujące trzy punkty:

1) Jednoczesne wycofanie z Niemiec wszystkich wojsk okupacyjnych; w tym wypadku ZSRR wycofały swe wojska na własne terytorium. ZSRR wycofały również wszystkie radzieckie oddziały wojskowe, które ochraniały w Polsce linie komunikacyjne, stacjonujących w Niemczech radzieckich wojsk okupacyjnych. Te wszelkie kroki przyczyniły się do stworzenia atmosfery odprężenia w Europie.

2) Zjednoczenie Niemiec w drodze wolnych i kontrolowanych wyborów, które zostałyby przeprowadzone na podstawie ordynacji wyborczej gwarantującej wszystkie swobody demokratyczne, jak to przewidział plan zaproponowany w Berlinie przez Edena.

3) Poznanowanie zobowiązań powziętych w skład żadnej koalicji wojskowej, a niekwalifikację ich granic; zostałyby gwarantowane przez inne państwa europejskie i przez Stany Zjednoczone.

Komunikat powyższy świadczy o słuszności i realności twierdzenia, że istnieją niewyczerpane jeszcze możliwości porozumienia i uzgodnienia stanowiska wszystkich zainteresowanych rządów w sprawie pokojowego rozwiązania problemu niemieckiego na podstawie wzajemnych ustępstw.

Alfons Klafkowski

MONOPOLE ZOSTAŁY

PRZYKRE i ciężkie myśli snują się po głowie, gdy w roku 1953 bierzemy do ręki materiały tak nierzadkie w dokumentach, które dają nam do myślenia wyrazem nadziei i pragnień narodów, które miały założyć podwaliny nowego, pokojowego i opartego na współpracy wszystkich światła. Dzisiaj, kiedy w miarę demokratyzacji Niemiec mocarstwa zachodnie utworzyły kadłubową republikę federalną i mocą układów paryskich nadały jej status pseudo-niezależnego państwa, widać już z całą ostrością, w jaki sposób wypieciono tam cztery zasady Poczdamu: słynne „cztery D”. Demilitaryzacja — to po dziesięciu latach urzęd Blanka, dowództwo NATO i 12 dywizji na pierwszy rzut; denazyfikacja — to tłumy hitlerowców zapinających wszystkie urzędy rządu bawarskiego; demokracja — to proces przeciw Partii Komunistycznej, to projekty faszystowskich ustaw o stanie wyjątkowym; dekartelizacja wreszcie — może ta przynajmniej zasada, nie naruszająca przeciwnie gospodarki kapitalistycznej, została uszanowana? Warto przywrócić się temu problemowi, bowiem rolę monopolu niemieckiego znana jest dobrze z historii: od rozwoju względnie likwidacji tej zbrońniczej pałki społeczno-politycznej w Niemczech zachodnich. Zależy od tego zachowanie pokoju w Europie, a więc i na całym świecie.

„Rozwój gospodarczy Niemiec (powojenny, przyp. mój) — pisze zachodni niemiecki Frankfurter Allgemeine Zeitung — dokonał się pod znakiem zakazu Kartell. Ale już pierwsze projekty nowej ustawy przewidywały rozszerzenie tego zakazu. Coraz to bardziej rozszerzone kolo dozwolonych lub dopuszczalnych dziedzin można wywodzić do tego, że jeżeli, jeśli tylko nada mu się formę, która umożliwi mu przenikanie się przez oceanie ście, stworzenie przez ustawę. Ponad dwa tuziny różnego typu wyjątków od zakazu wprowadzono z biegiem czasu do projektu”. Pismo jest jednak zbyt ostrożne — nie „wrotec”, a już dzisiaj, właściwie już od kilku lat kartele rozpo-

czely podgrzewanie całej gospodarki niemieckiej. Nie trzeba dopatrywać się ich działalności w jakichś tajnych porozumieniach, we wskaźnikach cen i produkcji. Monopole, by użyć określenia „Le Monde”, prowadzą swoją działalność „całkiem bezwładnie”. Dowodem na ich istnienie dostarcza całymi garściami prasa zachodnio-niemiecka i europejska. Citry, nazwiska, firmy, a czasem i ciekawe wypowiedzi. Przyciętymy jedną, szczególnie dla nas ciekawą, historię bankierskiego z Kolonii, sam także wielki bankier dr Pfordemenges, powołuje się z wielką atencją na słowa prezbiterianina Ryszarda Bakera — „Jesli Bóg wkaże ci drogę, która pozwoli ci bez szkody dla duszy i dla innych zdobyć więcej w sposób uczciwy i jeśli ją porzucasz, w istnieć lina droga, mniej konkretna (?) — mijasz się z celami swojego przeznaczenia, nie chcesz stać się administratorem Pracy, nie chcesz przyjąć Jego darów... Pracuj, by się wzbogacić, oczywiście nie dla celów zmysłowych i złych (jaki to dobry chrześcijanin ten Baker — przyp. mój), lecz dla chwały Boga”. Rzadko znaleźć można tak czysty okaz hipokryzji i powoływania się na Boga w sprawach, która jest najbardziej bezlitosnym, najbardziej nieludzkim i niesprawiedliwym wytworem ekonomiki imperializmu. Ale to uspokaja sumienie dr Pfordemenges, Absa i innych członków ho-

Rezerwy, że działalność ich jest bardzo wydajna. Przyjrzyjmy się w telegraficznym skrócie najważniejszym dziedzinom gospodarki zachodnio-niemieckiej. Zaczynamy wspomnianą „Le Monde”. „Najbardziej zdumiewający rozwój możemy zauważyć w przemyśle elektrotechnicznym. Spółka AEG straciła z powodu kapitalizmu 9,8 procent swoich zakładów fabryk i tylni parku maszynowego. Dziś w tej fabrykach w Berlinie, Backnaarig, Kassel, Belecce, Essen, Hamburgu, Habeln, Helligenhaus, Menden, Mühlheim, Neumünster, Norymberdze, Stutt-

garcie pracuje ponad 32 tysiące osób, a wartość produkcji w roku 1953 wyniosła 354 miliony marek. Siemens, po kompletnym demontażu w 1945 roku, odzyskał prawie swoją przedwojenną pozycję. W latach 1951-52 całość eksportu spółki osiągnęła 212 milionów marek, tj. 16 razy więcej niż w latach 1948-49... Mimo rozbieżności systemu stałowni koncentracja pozostaje również daleko posunięta. W 1938 roku siedem koncernów grupowało 76 proc. niemieckiej produkcji stali surowej. Dziś osiem towarzysz reprezentuje ponad 70 proc. produkcji tejże stali. Przechylna 55 proc. węgla w Zagłębiu Rudy było bezpośrednio związane z hutami i stalowniami tego rejonu. Dziś zbliżenie następuje w zgodnym rytmie dzięki biogostawstwu Wspólnoty Węgla i Stali i trustów. Powstają na nowo trusty hut: Dobra Nadzieja, Hoehsch, Klockner, Mannesmann itd... I tak wszędzie. Podajmy jeszcze tylko jeden przykład. Kapitał zakładów trzech najważniejszych „następców prawnych” słynnej IG Farbenindustrie wynosi ponad miliard marek.

Nie trzeba jednak sądzić, że monopole te są „rdzenie niemieckie”, że kapitalizm jest wyłącznie narodowy. „Deutsche Woche” podaje w numerze z 23 marca obszerny artykuł statystyczny, w którym wykazuje, iż w ciągu pół roku udział kapitału zagranicznego wzrósł od 17 do 24 proc.

Ta adenauerowska polityka „otwartych drzwi” dla kapitału obcych monopolu, w szczególności amerykańskiego, budzi coraz większy sprzeciw koł niemieckiej burżuazji przemysłowej. Burżuazja ta — daleka od postępowości w sensie polityczno-społecznym — pragnie jednak stworzenia jakiejś niezależnej polityki ekonomicznej Niemiec zachodnich.

Piętnię kilka tygodni temu o gwałtownie rosnącej w Niemczech zachodnich fall antyadenauerowskiej w sensie politycznym, o bunie mas ludowych. Widzimy teraz, że nawet podpora jego władzy, jego własna klasa wielkiej finansjery zaczyna zwracać się przeciw niemu.

STEF

CZY SĄ HEREZJE MORALNE?

SUMA w „eleganckiej” parafii. Kaznodzieja komentuje Ewangelię: „Trudno jest bogaczowi wejść do Królestwa Niebieskiego”. Wierni, w dobrze skrojonych ubraniach, pallach z pięknego sukna i kosztownych futrach, słuchają z widocznym niezadowolaniem. Wychoładz z kościoła państwo Dupont de la Clairière dzieli się wrażeniami: „Ci młodzi księża są niemożliwi”. Po powrocie do domu p. Dupont de la Clairière pisze do arcybiskupa: „Duchowieństwo uprawia politykę na ambonie... Czy Wasza Eksceleńcja nie mogłaby przywołać ich do porządku? Duchowieństwo powinno nauczać religii potrzebującej! Lud tego ogromnie potrzebuje...”

Religia chrześcijańska? Pan Dupont de la Clairière odmawia gorliwie Credo. Wierzy we wszystkie dogmaty świętej religii. Wierzy w Trójcę Świętą, w naukę o Łasce, w rzeczywistą obecność Chrystusa w Najświętszym Sakramencie, w święty Kościół Katolicki... Jest wernym mężem, dobrym ojcem; nie kradnie i nie zabija. Ma jątek swój odziedziczony, czy też uczciwie go zdobył... Oplaca swą służbę zgodnie z przyjętymi zwyczajami... co ma religia wspólnego z podziałem dóbr?

Nauka chrześcijańska wyraża się w dogmatach: czy istnieją dogmaty moralne? „Powiedział wam: miłujcie nieprzyjaciół waszych: módlcie się za tych, którzy was przesładują...” Nikt tego nie robi, poza nielicznymi bohaterami, świętymi, których wszyscy uważają za wyjątki, raczej godne podziwu, niż możliwe do naśladowania.

Słabość? Nie wszyscy zdają się być o tym przekonani. Czy jest obowiązkiem kochać swych nieprzyjaciół? A jeśli się ich nie kocha, czy jest to równie ważnym, a może nawet i ważniejszym uchybieniem, jak opuszczenie Mszy św. w niedzielę?

Czy słowa Zbawiciela są zwykłym pobożnym napomnieniem, czy też nakreśleniem zasady? Czy uczniowie Jego mają obowiązek stosować się do nich? Lecz czyż te wypadki odpowiadają pojęciu herezji? Rozróżnijmy doktrynę moralną i moralność w praktyce.

Jesteśmy wszyscy słabi i wszystkim nam się zdarza przekraczać niektóre zasady. W takich wypadkach nie ma mowy o herezji; herezja jest intelektualna.

Zdarza się jednak również, że chrześcijanin nie chce uznać jakiejś nauki Chrystusowej... Obowiązkiem jest kochać swych nieprzyjaciół, tak, lecz „biada mu, jeśli mi wpadnie w ręce...” Wszyscy ludzie są braćmi; tak, lecz my należymy do wyższej rasy, a nie ma obowiązku traktować na równi ludzi niższej rasy... Nie uznaje się zasady braterstwa; jeżeli się ją przekracza, to nie tylko przez słabość, lecz nie uznaje się jej dlatego, że umyślnie nasz na nią się nie zgadza. Lecz jeśli nieuznanie jakiejś tezy doktrynalnej chrześcijańskiej jest herezją, czy to nie jest nią również?

Jaskrawym tego przykładem już w naszych czasach stało się wykładanie nauki społecznej Kościoła i stanowisko w sprawach międzynarodowych. Jeżeli papież uznał tu swoją interwencję za konieczną, to nie dlatego, że powstała nowa doktryna, lecz dlatego, że chrześcijaństwo, a przynajmniej wielu z nich i to najwybitniejszych, mieli pojęcia zniekształcone i nie dostrzegali już tego, na co światopogląd chrześcijański pozwala. Wiadomo jest jednak, że nauka papieża nie została przyjęta. Ci, którzy się do niej zastosowali, nie mówią w postępkach,

lecz w duchu, byli i są jeszcze bardzo nieliczni. Większość przyjęła ją obojętnie i nie zmieniała w niczym zajętego poprzednio stanowiska. Nie powstają oni przeciw papieżom, lecz pomijają milczeniem ich nauczanie, lub wyodrębniają niektóre ustępy i tłumaczą je w zupełnie fałszywy sposób. A gdy zwykły ksiądz powtarza słowa papieskie — oskarża się go o to, że nie szery nauki chrześcijańskiej...

Lecz tutaj chodzi o przynależność duchową, a nie o słabość woli.

Niektóre odstępstwa moralne były czasem potępiane, na przykład w średniowieczu zbrocenia seksualne niektórych sekt, w późniejszym okresie pewne zbrocenia na tle ludobójstwa, lub zbrocenia kwietystów w XVII wieku; lecz wielkimi herezjami, wybijającymi się na pierwszy plan w historii Kościoła, są herezje dogmatyczne, herezje spekulatywne, herezje dotyczące Trójcy św. u schyłku starożytności i późniejsze dotyczące Łaski, rzeczywistej obecności w Eucharystii i Sakramentów. Herezje te miały pewien wpływ na życie, lecz nie godziły bezpośrednio w działalność. Pośrednią formą herezji jest wypadek schizmy, która pociąga za sobą herezję właściwą.

Trzeba jednak stwierdzić, że herezje, które wstrząsnęły Kościołem, wyływały się z sporów religijnych między teologami. Sprawa Reformacji jest bardzo jasna; Luter jest teologiem i Reformacja zrodziła się na fakultecie teologicznym. Wylaniają się z tego pewne zagadnienia.

Czy brak zainteresowania ogółu problemami stanowiącymi przedmiot dyskusji między teologami nie przyczynił się częściowo do tego, że Reformacja zdobyła sobie tak wielu zwolenników? Ludzie są szczególnie wrażliwi na praktyczną stronę życia chrześcijańskiego i protestanci zdają się nieraz bardziej troszczyć o nieskazitelność chrześcijańską niż katolicy. Kościół podawał naukę, potępiał błędy, lecz w praktyce były jawne nadużycia, do których na początku kryzysu nie przywiązywano zbyt wielkiej wagi... Później przysła kontrreformacja, lecz zło już się stało i dla wielu krajów za późno ona przysła.

Dzisiaj psychologia i socjologia religii ułatwiają zrozumienie wiary, które dawniej było nie do pomysłenia. Czym jest w rzeczywistości teza doktrynalna o Łasce w życiu chrześcijańskim? Oto społeczność katolicka i społeczność protestancka; pojmują one w zupełnie różny sposób naukę o Łasce. Lecz jaką rolę odgrywa ta teza w życiu wiary? Czy mają przynajmniej jej ściśle określenie teologiczne? Czy dla większości katolików nauka o Łasce, tak jak oni ją rozumieją, nie ogranicza się po prostu do wiary w pomoc Boga — pomoc, o charakterze której mają bardzo niejasne pojęcie?

Lecz w takim razie czy istnieje istotna różnica pomiędzy pojęciami katolików i protestantów? Mówię tu o tych, którzy nie są teologami, to jest o masach, do których należy większość gorliwych chrześcijan. Związani są oni z Kościołem różnymi więzami, wśród których tradycja danego środowiska gra bardzo wielką rolę... Lecz wówczas problem różni się znacznie od problemu postawionego przez teologów.

Zresztą teologowie zdają sobie z tego sprawę. Moralisci, zadając sobie pytanie, jakie są konieczne warunki rozumnej (explicitie) wiary, to jest o masach, do których należy większość gorliwych chrześcijan. Związani są oni z Kościołem różnymi więzami, wśród których tradycja danego środowiska gra bardzo wielką rolę... Lecz wówczas problem różni się znacznie od problemu postawionego przez teologów.

Jeżeli większość chrześcijan uznaje, że Bóg jest w Trzech Osobach a nie w dwóch lub czterech, jeżeli uznaje, że Chrystus jest rzeczywście obecny pod Świętymi Postaciami, to nie dlatego, że doszli do tego przekonania na podstawie swych studiów czy rozmyślań, a dlatego, że Kościół ich tego naucza, a właściwie sama doktryna zupełnie ich nie in-

teresuje. Możliwe, że dawniej zajmowano się namiętnie tymi zagadnieniami, lecz obecnie jest zupełnie inaczej. Ludzie odnoszą się z całkowitą obojętnością do problemów nie mogących, w ich rozumieniu, mieć żadnego wpływu na życie. Dopiero gdy zagadnienie dotyczy życia, budzi się w nich chęć do dyskusji.

W naszej dobie to, co ma styczność z życiem, lub co chrześcijaństwo uważa, że ma związek z życiem, to doktryna moralna, zwłaszcza te zasady, które dotyczą chrześcijańskiego braterstwa. Czynnemu ich zastosowaniu sprzeciwia się nie tylko ułomność moralna, lecz i nastawienie umysłowe.

Jest się herezykiem, jeśli się nie uznaje, że wszyscy ludzie są braćmi; jest się herezykiem, jeśli się nie uznaje, że trzeba kochać swych nieprzyjaciół; jest się herezykiem, jeśli się uważa, że trzeba kochać bogactwa i gromadzić je, nawet jeśli się stara nie grzeszyć i w ten sposób uniknąć piekła.

Uważano zawsze, że katolika określa się przynależnością dogmatyczną, doktrynalną; prawowiernym był każdy, kto uznawał dogmatyczną naukę Kościoła, a odstępstwa duchowe kładziono na karb tylko słabości wewnętrznej. Chcielibyśmy tu rozstrzygnąć zagadnienie, czy odstępstwa duchowe nie mają swego źródła w odstępstwach intelektualnych, mających charakter doktrynalny, ponieważ istnieje doktryna moralna.

W epoce Reformacji jednym z głównych powodów jej powodzenia było w wielu wypadkach to, że protestanci stali wyżej moralnie od katolików; nazywali się „ewangelicznymi” i byli nimi bardziej niż katolicy. Gdy Juliusz II zawarł przyimierz z Francją przeciw Wenecji i zobowiązał się oddać ma usługi sprzymierzonych wszystkie swe siły doczesne i duchowe, rzucił interdykt na Wenecję i gdy następnie, zmieniwszy sprzymierzeńców, rozpoczął walkę z Francją i przeciw niej zwrócił swą broń duchową, rzucając na nią z kolei interdykt dla dobra sprawy ziemskiej, której bronil, nie miał on — zdaje się — najmniejszej wątpliwości co do uprawnienia swego postępowania. Gdy szlachta z XVII wieku uważała za swój obowiązek bić się w pojedynku, nie zdawała się ona również mieć żadnych skrupułów intelektualnych. Tak samo dzieje się i dzisiaj, gdy chodzi o kwestie społeczne np. ś. dki przeciwkonceptyjne.

Niepokonana ciemnota, powie się: oni działają w dobrej wierze; ulegają wpływowi środowiska... Ale czyż nie tak samo ma się sprawa z wielu arianami z IV wieku i z wielu protestantami z wieku XVI?

Z oddalenia odnosi się wrażenie, że dysputy dogmatyczne były bardzo proste; lecz gdy się studiuje uważnie historię, gdy się bada subtelności arianizmu, pelagianizmu, semipelagianizmu, bajaranizmu i jansenizmu, dochodzi się do przekonania, że kwestia niepokonanej ciemnoty grała tu równie wielką rolę, jak w sprawach moralności. I wydaje się, że wyklucza się z Kościoła dla spraw mniejszej wagi; gdy jednak chodzi o te zagadnienia...

Tutaj ktoś mi powie może, że Kościół okazuje wielką surowość, gdy chodzi o środki przeciwkonceptyjne. Istotnie, Kościół kładzie obecnie wielki nacisk na te sprawy. Jest to jednak tylko jeden punkt wśród wielu innych, gdyż moralność dotyczy całego życia.

W takim razie, usłyszę jeszcze, wykluczycie z Kościoła trzy czwarte wszystkich chrześcijan... Tak mniej więcej się stało w czasach arianizmu, był taki moment, gdy Kościół miał bardzo mało wiernych. Kościół niejednemu raz dowiódł, że w obliczu herezji gotów był stracić, z punktu widzenia ludzkiego, bardzo dużo, nawet prawie wszystko, aby tylko ocalić depozyt.

Podczas gdy cała uwaga skupiała się na dysputach zwanych dogmatycznymi, błędnie tłumaczono zasa-

dy moralności, które są przeciwieństwem doktryny.

Powróćmy jednak do doktryny społecznej Kościoła. Gdy papież przemawia, nie przeczy mu się. Ale gdy zwykły ksiądz powtarza jego naukę, uważa się jego słowa za niewczesne. Oczywiście — mówi się — papież ma rację, lecz w naszym konkretnym środowisku ta nauka jest źle rozumiana i trzeba unikać podawania ludowi prawd, z których wyciągnięto niebezpieczne wnioski... Pospólstwo — powie się jeszcze — nie rozumie nauk papieskich i znajduje w nich tylko pretekst do usprawiedliwienia swych niezdrowych apetytów i niebezpiecznych żądań...

Ponieważ łatwo jest walczyć ze zwykłym księdzem, proboszczem czy wikarym, napada się na nieostrożnego duchownego zarzucając mu złe zastosowanie i brak dokładnego zrozumienia nauki papieskiej... To, co się nazywa dokładnym zrozumieniem, jest interpretacją sprowadzającą wypowiedzi papieskie do usprawnienia teoretycznych komatów, nie mających żadnego zastosowania... Jeżeli biskup powtarza naukę papieską, jest się ostrożniejszym; nie przeczy mu się publicznie, lecz wyraża ubolewanie, że ma on tak mało styczności z rzeczywistością życia... Gdyby wiedział, jaki użytek robi się z jego słów, byłby ostrożniejszy... W ten sposób stara się słumaczyć Słowo Boże, gdyż przyjmuje się je tylko o tyle, o ile nie pociąga za sobą żadnych konsekwencji życiowych.

Żeby zrozumieć myśl papieską, trzeba wpiąć się w duchą Ewangelii, której papież są głosicielami. Jeżeli papież przyjmuje konkretne stanowisko w jakiejś sprawie, stanowisko to zwykle jest tak pełne odcieni, że staje się czasem niezrozumiałe dla tych, którzy nie znają Ewangelii, lub nie biorą jej pod uwagę. Jest to zwykle postawa wielu chrześcijan; mają co do niektórych punktów pojęcia zupełnie ustalone, niezgodne pod żadnym względem z Ewangelią i troszczą się o zupełnie co innego, niż by należało; i jeśli znają jakąś wypowiedź papieską, która wzięta oddzielnie może służyć ich celom, wykorzystują ją natychmiast — co robią również w podobnych wypadkach i z Ewangelią.

„Przykazanie nowe daję wam, a-bycie się wzajemnie miłowali tak jak ja was umiłowalem”. Zupełnie jasne; jest to przykazanie, zachęta lub rada. Sposób, w jaki nas Chrystus kochał, jest dobrze znany. Powinniśmy się miłować wzajemnie, tak jak On nas umiłowal, w ten sposób, a nie inaczej. Kto się ośmielił powiedzieć, że to nie jest dogmat?

Otóż w świecie dzisiejszym Kościół cierpi najbardziej z powodu tego, że ludzkość nie widzi, by Kościół miłowal ją, tak jak nas Chrystus umiłowal. Gdyż Kościół to są chrześcijaństwo, a na to, by ludzkość widzi ała, że jest miłowana, trzeba, by ją chrześcijaństwo tak miłowali. Rzecz jasna, że tego nie widzi.

Prawda, że Kościół mocą swej władzy duchowej poucza, że tak być powinno; prawdą jest również, że wiele jest wśród chrześcijan objawów miłości bliźniego, zgodnych ze słowami Chrystusa i że najwyższe władze Kościoła interweniuja nieraz, zbijając oszczerze zarzuty. Władze duchowne i prasa katolicka skwapliwie podkreślaja wszelkie objawy miłości bliźniego wśród chrześcijan i nie można, oczywiście, mieć im tego za złe.

Prawdą jest jednak również, że panowie Dupont de la Clairière, o których pisaliśmy na wstępie, są bardzo liczni i wpływowi, i że prawie wszędzie uważani są za wzorowych katolików. Mają wpływ w Kościele, gdyż wiele spraw Kościoła od nich zależy, narzucają więc swoje poglądy tworząc z nich zasady prawowierności duchowej.

Powtarzam: zasady prawowierności, gdyż chodzi tu o doktrynę, a nie o praktykę.

Katolika, tak jak to większość

pojmuje, cechują praktyki religijne; chodzi na Mszę, pości w piątek; nie cechuje go miłość bliźniego. Lecz to jest praktyka; postawmy sprawę z punktu widzenia doktrynalnego: katolikiem jest ten, kto wierzy, że trzeba chodzić na Mszę i pościć w piątek i uważa, że zgrzeszył, jeżeli tego nie robi; a nie ten, który wierzy, że trzeba miłować bliźniego swego, tak jak nas Chrystus umiłowal, i który wie, że grzeszy, jeżeli nie miłuje w ten sam sposób.

Czy są więc herezje duchowe? Tak, i są one bardzo niebezpieczne, gdyż nie pozwalają światu zrozumieć dobrodziejstwa prawowierności chrześcijańskiej. Nauka chrześcijańska koncentruje się w Chrystusie: celem jej jest dokładne poznanie znaczenia Odkupienia; nauki o Trójcy Świętej i Łasce, o Kościele, o Sakramentach, które są źródłem Łaski. Cała doktryna ma za zadanie określenie, czym jest Chrystus, jak się z Nim łączy i co jest potrzebne, by zostać Jego uczniem. I jeszcze trzeba być Jego dobrym uczniem. I jeżeli chrześcijanin chce czerpać z innych źródeł niż nauka Chrystusowa, jego przywiązanie do prawd zasadniczych staje się jakby ożywcza wodą, która przechodzi przez rury zatkałe w miejscach, gdzie właśnie powinna splywać, by spełnić swe oczyszczające zadanie...

Prawdy, które się zwykle nazywają dogmatycznymi, są prawdami zasadniczymi, fundamentalnymi, lecz na cóż się zadzają fundamenty, jeśli się nie na nich budować nie będzie? „Ktokolwiek słucha mych słów i wprowadza je w czyn, jest podobny temu, kto zbudował dom swój na skale...”

Skala jest fundamentem i są to nauki fundamentalne. Ale rodzaju ludzkiego nie lokuje się na skale, lecz w domu budowanym na skale. Doktryna duchowa robi plany domu, a praktyka duchowa buduje ten dom, lecz zanim się dom zbuduje trzeba wiedzieć, co się chce budować. Ograniczyć prawowierność do nauki zasadniczej jest tym samym, co powiedzieć ludzkości obojętnej pod gołym niebem w czasie burzy: „Chodźcie na skalę, nie zasypiaj was piaski”. Tak, lecz zmiecie ją huragan.

Chrześcijaństwo tworzy całość i trzeba je w całości przyjąć. W nauczaniu Chrystusa wszystko się zbiega do „jak ja was umiłowalem”. Nie można odciąć rośliny od korzenia, lecz korzeń nie jest rośliną, i jeśli Królestwo Boże jest drzewem wschodzącym z ziarna, musi ono z niego wzrosnąć...

Artykuł niniejszy został zamieszczony w „La Vie Intellectuelle” w numerze styczniowym 1953 roku.

Poezja jugostowiańska

MILAN BEGOVIĆ (ur. 1876)

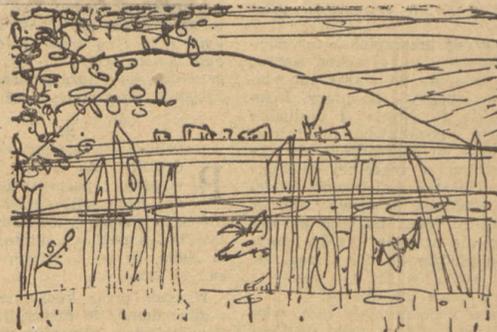
PIGWA

Przed ojców domem pigwa swą koronę
roztacza dumnie. Słońce blask w nią rzuca.
Poprzez gałęzie promieniem złocionym
błysk na płot pada. Woń jej chłona płuca.

Beczące owce cieszą się wygonem,
w cieniu pastersze rozłożeni konia
i brzękadłami podzwaniają konie.
Na uprost psiej budy przyglądam się psu, co

wzrok na mnie zwrócił i przyjaźnie mruga.
Myśl moja błądzi, a serce z tęsknoty
ginie za dniami, co przeszły jak echo.

Słodka woń pigwy, a wraz z nią myśl druga:
w duszy wspomnienie zbudziło się o tym,
że i twa ziemia pachnie pigwą oddechem.



DRAGUTIN TADIJANOVIĆ (ur. 1905)

KOBIETY POD ORZECHEM

Pod wieczór, przed chatą drzew zapach się rozstawa
i ciepłe mleko dymi z wypełnionych skopków.

Pod orzechem o liściu szerokim
Młode kobiety chustki wiają.

Przechodzą obok nich zmiestany i niewesoł.
Pozdrawiam je.

Ich włosy są jałujące niby kłosa żyta.
Opuszczają haft na kolana.

I słodko mi się zmieszały, beztrzesko:
I ta z czarnymi oczami, aksamitnymi

I ta z oczami zielonymi
Jak trawa wiosenna po deszczu.

Odchodzę od nich zachwycony,
Dręczy mnie gorące pożądanie.

Niepokoł mnie myśl daremna
O tych młodych kobietach pod orzechem.

SILVIJE STRAHIMIR KRANJCEVIC (1865 — 1908)

JESTEM...

Jestem bryłą lodu gładką,
Zmarło we mnie serce żywe.
Wiersze moje — moją działwą
W sercu-m swoim poukrywał.
Depczę ciernie swego szlaku,
Padół, w którym los mnie złożył,
Błąkający się tak jako
Martwa gwiazda wśród przestworzy

Lecz twe oko kiedy padnie
Na tę gwiazdę, moje dziecię,
Wtedy pieśń wybuchu nagle
I jak iskra niebem leci.
A ty patrzysz, jak goreje,
Jak rozlśniewa na twych oczach,
Nie zgadując, co się dzieje
W sercu, które tak łomocze.

Rys. Krystyna Maślanka

OTON ZUPANCIC (ur. 1878)

LUBLJAŃSKIE POLE

Lubljańskie pole! Między twą pszenicą
i żytem siedłem. Zwiedzałem twe łany
jeszcze niedawno. Dzisiaj idę znouu,
tam gdzie mak rośnie, jak ma myśl rozszany.

A któż to widział, żeby tak w niedzielę
dźwięk dzwonów wzbil się jak dzisiaj wspaniale
i „Klaudiusz” dzwonił „świętemu Piotrowi”:
— „Mój głos jest lepszy, głos mój biegnie dalej!”

Słońce paliło. Żar słoneczny płonął.
Wszędzie się zdało, że gorąc jednaki.
A ja chodziłem pomiędzy pszenicą,
jak żywe myśli, rwąc czerwone maki.

Miast ziemi, skrzył się jeden stos płomieni.
Ludzie wracali do domu niemrawie,
a od ich ciżby, jak od łona ziemi,
w sercu garść niostem bożych błogostawieństw.

Przełożył
Marek Antoni Wasilewski



*** PAX ***

Bolesław Piasecki
ZAGADNIENIA ISTOTNE
str. 207 Cena zł 20.—

Stefania Skwarczyńska
WSTĘP DO NAUKI
O LITERATURZE
I. I/II
str. 476+572 Cena zł 45.— za 1 tom
J. de Castro
GEOGRAFIA GŁODU
str. 283 Cena zł 30.—

Th. More (Morus)
UTOPIA
str. 201 Cena zł 20.—

Leopold Buczkowski
CZARNY POTOK
str. 240 Cena zł 18.—

A. J. Cronin
CYTADELA
str. 245 Cena zł 25.—

Jan Dobraczyński
KLUCZ MADROŚCI
str. 370 Cena zł 25.—

Gertruda v. le Fort
CORKA FARINATY
str. 124 Cena zł 18.—

Zenon Skierski
JEMIOŁA DOJRZEWA
str. 323 Cena zł 25.—

Wysyła Biuro Sprzedaży „Pax”
Warszawa, Mokotowska 43 za zniż-
czeniem pocztowym lub po wbla-
ceniu należności na konto PKO
W-wa 1-14-146917 Sp. Wyd. „Pax”
— Instytut Wydawniczy w War-
szawie. Przy wpłatach na PKO
prosimy łączyć zł. 3.— na koszt
przesyłki. Do nabycia we wszyst-
kich sklepach „Veritasu”.

AKIEDY odeszła cicho i ostrożnie, poprzez chwały, na pozostał w ciemności, ukłaki u stóp drzewa, wsparł głowę o pień i modlił się do Pana Niebios. A przed każdą modlitwą wymawiał w kornej udręce: *indien ek mag, indien ek mag*, co znaczy: obym mógł się modlić, obym mógł się modlić; tak że gdyby te modły miały mu być policzone za zachwalstwo i Bóg nie chciał ich wysłuchać, obym przynajmniej za nie mu przebaczył. Miał bowiem wizję, że trąby zagrzmiąły w Niebiosach i Pan Najwyższy zarządził zamknięcie bram, by ani słowo modlitwy nie wtargnęło od człowieka, który znając nakazy i prawa zlekceważył je z własnej i nieprzymuszonej woli.

A gdy się tak modlił, aby móc się modlić, usłyszał głośny trzask gałązki wśród pustego pola i ogarnęła go trwoga. Stał w miejscu jak ktoś osaczony w ciemności pełnej nieprzyjaciół, czekał i patrzył oczami, co zdolne przeniknąć czerń nocy, lecz nic nie robił oddany wrogiem na pastwę. Jak długo tam stał, nie pamiętał, lecz choć wyteżał słuch, nie usłyszał już żadnego dźwięku; a ten, kto go śledził, musiał być równie cichy i równie skamieniały.

Wtedy znów zaczął się modlić i czynić śluby, że jeśli go nikt nie zauważy w ciemności, poświęci życie Bogu. Alkoholu nie tknie już nigdy. I wyrzeknie się rugy i swojej sławy, i zaszczytów, a stanie się pokorny, posłuszny i nikomu nieznanym — jeśli go tylko nikt nie zauważy w ciemności. A kiedy ojciec umrze, a on dostanie swą część, połowę zachowa dla Nelli i dzieci, a połowę rozda — jeśli go tylko nikt nie zauważy w ciemności.

Wtedy znów zaczął się modlić i czynić śluby, że jeśli go nikt nie zauważy w ciemności, poświęci życie Bogu. Alkoholu nie tknie już nigdy. I wyrzeknie się rugy i swojej sławy, i zaszczytów, a stanie się pokorny, posłuszny i nikomu nieznanym — jeśli go tylko nikt nie zauważy w ciemności.

Wspłął się przez płot fermy zwanej „Zalósć” i usiadł wśród wołów; leżały, czapkały po trawie lub stały żując, spokojne po pracy. I zobaczył, że to święte i posłuszne zwierzęta i pozadroszcili im. I jeszcze czegoś im pozadroszcili, co później napisał w sekretnej księdze.

Zdjął płaszcz śmiertzący kaktusem i położył w gęstej rosie, by się oczyścił. Sam też leżał w trawie, by się oczyścić. Wtedy pomyślał, że pójdzie do domu, zagrzeje kocioł wody, wleje do wanny i zmyje z siebie ten upadek.

Powstał więc nasyłki rosą, włożył płaszcz i szybko ruszył do Venterpanu, a nie spotkał ani samochodu, ani żywej duszy. I ponowił śluby, i dziękował, że znikła woń kaktusem.

Minał furtkę i doszedł do drzwi, a na drzwiach w ciemności bieliła się kartka przybita szpilką. Zdjął ją i wszedł do środka. Zapalił światło. Spojrzył na napis. Był zrobiony ołówkiem, dziecinny, drukowanymi literami. Brzmiał: **WIDZIAŁEM CIĘ.**

TRZASK gałązki w ciemności... Przejął go strach. Zapomniał o kotle wody, o kąpieli, teraz bowiem myślał nie o tym, by się oczyścić, lecz by się ocalić. Ścisnął w rękę kartkę — jakby w tym pustym domu mógł ją ktoś zobaczyć — poszedł do swojego pokoju, zapalił światło, zamknął drzwi. Wtedy znów spojrzal na kartkę, lecz tam, jak pierwsze, było napisane: **WIDZIAŁEM CIĘ.** Zwykła kartka papieru. Nie zmiażdżona, czysta, nie było na niej nazwiska w rogu, w ogóle nic, prócz dwóch słów, dwunastu liter — dość, by zburzyć świat.

Usiadł przy biurku i choć stary był zapuszczone, zastąpił kartkę dionią, by nikt jej nie mógł widzieć. A jakże by inaczej? Gdy miasto nagle pełne było oczu, zdolnych przeniknąć ciemności nocy i pełne myśli, krążących w ciemności ludzkich dusz? I rzekł: *o Ged wees my genadig, o Here Jesus wees my genadig*, lecz teraz innej pragnął łaski, nie wybaczenia grzechu, a ocalenia od następstw. Powtórzył wszystkie swe śluby, podwoił wyrzeczenia, aby tylko móc się ocalić. Wtedy, choć już było po północy, usłyszał warkot samochodu i znów przecięła go trwoga. Włożył kartkę w książkę, a książkę na półkę, bojąc się jednak, że gdyby ktoś wszedł, znalazłby ją od razu, bo taka była jej moc. I wziął albumy znaczków i porokładną na biurku, bojąc się jednak, że gdyby ktoś wszedł, poznalby od razu,

że położono je przed chwilą, że sam ich układ nie jest przypadkowy, lecz celowy. Usiadł więc zaraz i położył książkę o południowych Afrykańczykach przed sobą i spróbował czytać, lecz nie mógł — słuchał warkotu. A samochód, jak się zdawało, stanął na wprost domu, trwał więc w panice, póki nie usłyszał śmiechu młodych. Poznał wtedy, że to panny Vosloo powróciły z przyjęcia na fermie Hammana, a samochód zatrzymał się nie na wprost jego domu, lecz trochę dalej.

Poszedł z powrotem do półki i wyjął kartkę z książki, i położył w świetle na biurku. Literę — ni by ręką dziecka stawiane, lub czyjąś — czarną czy białą — nie przywykła pisać, albo specjalnie tak, żeby go zdręczyć. Zaczął więc rozważać z lękiem, co będzie dalej, bo na tym nie koniec, to pewne. I znów modlił się i czynił śluby, i myślał o żonie, o dzieciach, o ojcu, o matce, i o mnie, i o bracie swym i siostrach, a zwłaszcza o Marcie i młodym pa-

storze, i o starym pastarze też myślał, o ojcu Nelli i matce, i braciach, i siostrach, o kapitanie i sierżantach, o młodym Vorsterze, co czcił go jak boga, o Hannesie de Jongh i innych z klubu sportowego, o pułkowniku de Wet, jego pułkowniku z wojny, który przedstawił go do D.S.O., o profesorze Krige ze Stellenboschu, który pisał do Jakuba van Vlaanderen: „Może pan być dumny z syna, który, mimo wyróżnień, pozostał nadal cichy i skromny”. Ale nie ojciec mu to powiedział, tylko matka.

A o dzieciach myślał ze szczególną udręką, bo jakże człowiek niszczy to, co stworzył, i ból zadaje temu, co ukochał?

Obudził się w pocie i strachu, nieświadom, że to sen. Później poznał, że to sen, i byłby się uspokoił, lecz przypomniał sobie kartkę, tę kartkę; czynił więc śluby i modlił się, że jeśli tylko Bóg go ocali, nigdy już więcej nie zgrzeszy. I tak usłyszał pięć uderzeń zegara i sześć uderzeń zegara. Później słyszał, jak boy, Johannes, krząta się cicho po kuchni, by mu nie zakłócać spokoju, i zapadł w sen.

Ocknąwszy się zastanawiał, czy nie dać znać kapitanowi, że jest chory i przyjąć nie może. Ale rozmyślił się, bo gdyby ten, który go śledził, poszedł do kapitana, nie ważne byłoby, czy jest chory, czy nie. A jeśli by ten, który go śledził, poszedł do kapitana, to co kapitan by zrobił? Wtedy wstąpiła weń wielka nadzieja, że może kapitan wezwałby go nieoficjalnie, a on powiedziałby mu wszystko, i kapitan by go ocalił, zupełnie jak on ocalił Dicka. I wstąpiła weń wielka trwoga, że kapitan spełni obowiązek, bowiem obowiązek był mu jak Bóg; a czyż kapitan nie powiedział mu na dzień przed dwanaście godzin temu: „Obowiązek obowiązkem, spełnić go należy”.

I pomyślałem sobie, dwanaście godzin! W dwunastu godzinach cały świat się zmienił, przez jeden bezsensowny czyn. A jakież szaleństwo kazalo gnać człowiekowi za czymś tak nie do wypowiedzenia, by głuchy na płacz żony i dzieci, matki i przyjaciół, ślepy na niebezpieczeństwa, którym ich poddaje, dopadł wreszcie rozkoszy, co mu radości nie dała, gdy milion tych przyjemności nie wart jest włoża z ich głowy? Pożądliwość taka nie mogła być na pewno pożądliwością ciała, lecz szaleńczą pożądliwością schorowanej i opętanej duszy. I czemuż ja się jej poddałem? Skąd wzięła początek? I jak się jej pozbyć? Nie znalazłem na to odpowiedź.

Jeszcze większa ogarnęła go trwoga na myśl, że ten, który go śledził, pójdzie nie do kapitana, lecz do służbowego — dziś służbę ma sierżant Steyn. Powiedziałby sierżantowi: chcę zrobić doniesienie na porucznika van Vlaanderen. I sierżant, zaciękawiony, położy papier przed sobą. A po jednym zdaniu czy dwóch powie donosicielowi: przejdźmy do pokoju. I usłyszy tam opowieść i spisz ją, zdanie po zdaniu, z sercem pełnym nienawiści i uciechy. Wtedy nikt nie będzie mógł nad nim się zlitować. Bo donos to donos, a jak już rzecz napisano, to napisano; i można napisać słowo, które będzie znacząco śmierć człowieka, i włożyć mu piętę na szyję, i wrzucić go do jamy; i można napisać słowo, które zniszczy człowieka i krewnych jego i przyjaciół, i nie ma mocy — Boga czy Człowieka, Państwa czy Anioła, ani czegoś, co jest czy będzie, ani góry, ani dołu, ni żadnego stworzenia — które by ich ocaliło, gdy raz słowo napisano

Wtedy wzięła swą porucznikowską łaskę i czapkę i wyszedł do furtki, i stał tam przez chwilę, zanim ją otworzył, i poszedł z lękiem ku van Onselen Street.

Wtedy wzięła swą porucznikowską łaskę i czapkę i wyszedł do furtki, i stał tam przez chwilę, zanim ją otworzył, i poszedł z lękiem ku van Onselen Street.

Wtedy wzięła swą porucznikowską łaskę i czapkę i wyszedł do furtki, i stał tam przez chwilę, zanim ją otworzył, i poszedł z lękiem ku van Onselen Street.

Wtedy wstał z łóżka i modlił się, i znów czynił śluby. I pomyślał, że mylił się sądząc, iż nie ma mocy Boga. Człowieka ni Państwa — na pewno jest jeszcze moc Boża, bo czyż nie znał przypowieści o człowieku, którego zlapali i otoczyli nieprzyjaciele, co chcieli tylko jego śmierci, a nie znali litości? I nic mu nie pozostało, jak tylko klęknąć i modlić się. A gdy otworzył oczy, ujrzał, że jest sam — na całym szerokim wzdzie, zupełnie sam.

Mówiono mu o tym w Stellenboschu, gdy był jeszcze młody; jedni sądzili, że to Boże dzieło, a drudzy, że ten człowiek był otumaniony głodem i pragnieniem, i że wcale nie było przy nim nieprzyjaciół. Lecz on wolał myśleć, że to Boże dzieło, którego Bóg mógłby i teraz dokonać, nawet gdyby on był otoczony i skazany na śmierć. Zaczął zastanawiać się, jak Pan Bóg by to zrobił. I przyszło mu na myśl, że ten, który go śledził, może teraz umiera, że może nawet już umarł; albo umarła Stephanie. Al-

bo że deszcz i czarne nawalnie przyjdą, choć świat zwraca się ku ziemie, i luną na ziemię, i Buffelsrivier dzień po dniu będzie wzbierał i wzbierać, występując z brzegów, zalewając dzielnicę czarnych i całe miasto i wszyscy będą w niebezpieczeństwie, tak że całą policję powoła się do pracy, dzień po dniu, i wszystkie inne obowiązki będą zapomniane. A on sam będzie harował w noc i w dzień, by zmazać z siebie grzech i dowieść swej skruchy, i ten, który go śledził, ulituje się nad nim. Albo może ocali tego, który go śledził, lub jego żonę czy dzieci, i on ulituje się nad nim. Albo może ten, który go śledził, utonie.

Tak oto w swym nieszczęściu chciałby sprowadzić śmierć na świat, oby tylko móc się ocalić; on, który błagał Boga o litość, chciałby uzyskać ją za cenę życia człowieka, dziecka czy narodu. Człowiek był w pierś i prosił o przebaczenie, i zostawił to Bogu, którego wiedza nie znana jest człowiekowi; znalazł pociechę w Bożej potęgze. Powstał na nogi, a ruch ten sprawił, że znów poczuł się nieszczęśliwy, nie widząc nic, co Bóg mógłby uczynić.

Wtedy znów się umył, od stóp do głów, i zszedł na dół na śniadanie i próbował żartować wobec Johannes. Lecz myślał tylko o kartce, tej kartce, o dwóch zwykłych słowach, dwunastu literach, które mogą zniszczyć człowieka.

Przed wejściem do komisarjatu poszedł do kuchni i powiedział Johannesowi: „Miałem uczucie, że był tu ktoś wczoraj”. A chłopiec odparł: „Nikt, baas”. A porucznik powiedział: „Ciagle tu pełno skelmów” (a skelm to taki próżniak, co wcale nie waha się przekroczyć prawa, ale naprawdę u nas w Venterpanie prawie nie ma skelmów, a jak są, to spokojni, włóczędzy i złodziejaski, nie tak jak w Johannesburgu).

Wtedy wzięła swą porucznikowską łaskę i czapkę i wyszedł do furtki, i stał tam przez chwilę, zanim ją otworzył, i poszedł z lękiem ku van Onselen Street.

Wtedy wzięła swą porucznikowską łaskę i czapkę i wyszedł do furtki, i stał tam przez chwilę, zanim ją otworzył, i poszedł z lękiem ku van Onselen Street.

Wtedy wzięła swą porucznikowską łaskę i czapkę i wyszedł do furtki, i stał tam przez chwilę, zanim ją otworzył, i poszedł z lękiem ku van Onselen Street.

Wtedy wzięła swą porucznikowską łaskę i czapkę i wyszedł do furtki, i stał tam przez chwilę, zanim ją otworzył, i poszedł z lękiem ku van Onselen Street.

Wtedy wzięła swą porucznikowską łaskę i czapkę i wyszedł do furtki, i stał tam przez chwilę, zanim ją otworzył, i poszedł z lękiem ku van Onselen Street.

Wtedy wzięła swą porucznikowską łaskę i czapkę i wyszedł do furtki, i stał tam przez chwilę, zanim ją otworzył, i poszedł z lękiem ku van Onselen Street.

Wtedy wzięła swą porucznikowską łaskę i czapkę i wyszedł do furtki, i stał tam przez chwilę, zanim ją otworzył, i poszedł z lękiem ku van Onselen Street.

Wtedy wstał z łóżka i modlił się, i znów czynił śluby. I pomyślał, że mylił się sądząc, iż nie ma mocy Boga. Człowieka ni Państwa — na pewno jest jeszcze moc Boża, bo czyż nie znał przypowieści o człowieku, którego zlapali i otoczyli nieprzyjaciele, co chcieli tylko jego śmierci, a nie znali litości? I nic mu nie pozostało, jak tylko klęknąć i modlić się. A gdy otworzył oczy, ujrzał, że jest sam — na całym szerokim wzdzie, zupełnie sam.

Mówiono mu o tym w Stellenboschu, gdy był jeszcze młody; jedni sądzili, że to Boże dzieło, a drudzy, że ten człowiek był otumaniony głodem i pragnieniem, i że wcale nie było przy nim nieprzyjaciół. Lecz on wolał myśleć, że to Boże dzieło, którego Bóg mógłby i teraz dokonać, nawet gdyby on był otoczony i skazany na śmierć. Zaczął zastanawiać się, jak Pan Bóg by to zrobił. I przyszło mu na myśl, że ten, który go śledził, może teraz umiera, że może nawet już umarł; albo umarła Stephanie. Al-

bo że deszcz i czarne nawalnie przyjdą, choć świat zwraca się ku ziemie, i luną na ziemię, i Buffelsrivier dzień po dniu będzie wzbierał i wzbierać, występując z brzegów, zalewając dzielnicę czarnych i całe miasto i wszyscy będą w niebezpieczeństwie, tak że całą policję powoła się do pracy, dzień po dniu, i wszystkie inne obowiązki będą zapomniane. A on sam będzie harował w noc i w dzień, by zmazać z siebie grzech i dowieść swej skruchy, i ten, który go śledził, ulituje się nad nim. Albo może ocali tego, który go śledził, lub jego żonę czy dzieci, i on ulituje się nad nim. Albo może ten, który go śledził, utonie.

Tak oto w swym nieszczęściu chciałby sprowadzić śmierć na świat, oby tylko móc się ocalić; on, który błagał Boga o litość, chciałby uzyskać ją za cenę życia człowieka, dziecka czy narodu. Człowiek był w pierś i prosił o przebaczenie, i zostawił to Bogu, którego wiedza nie znana jest człowiekowi; znalazł pociechę w Bożej potęgze. Powstał na nogi, a ruch ten sprawił, że znów poczuł się nieszczęśliwy, nie widząc nic, co Bóg mógłby uczynić.

Wtedy znów się umył, od stóp do głów, i zszedł na dół na śniadanie i próbował żartować wobec Johannes. Lecz myślał tylko o kartce, tej kartce, o dwóch zwykłych słowach, dwunastu literach, które mogą zniszczyć człowieka.

Przed wejściem do komisarjatu poszedł do kuchni i powiedział Johannesowi: „Miałem uczucie, że był tu ktoś wczoraj”. A chłopiec odparł: „Nikt, baas”. A porucznik powiedział: „Ciagle tu pełno skelmów” (a skelm to taki próżniak, co wcale nie waha się przekroczyć prawa, ale naprawdę u nas w Venterpanie prawie nie ma skelmów, a jak są, to spokojni, włóczędzy i złodziejaski, nie tak jak w Johannesburgu).

Wtedy wzięła swą porucznikowską łaskę i czapkę i wyszedł do furtki, i stał tam przez chwilę, zanim ją otworzył, i poszedł z lękiem ku van Onselen Street.

Wtedy wzięła swą porucznikowską łaskę i czapkę i wyszedł do furtki, i stał tam przez chwilę, zanim ją otworzył, i poszedł z lękiem ku van Onselen Street.

Wtedy wzięła swą porucznikowską łaskę i czapkę i wyszedł do furtki, i stał tam przez chwilę, zanim ją otworzył, i poszedł z lękiem ku van Onselen Street.

Wtedy wzięła swą porucznikowską łaskę i czapkę i wyszedł do furtki, i stał tam przez chwilę, zanim ją otworzył, i poszedł z lękiem ku van Onselen Street.

Wtedy wzięła swą porucznikowską łaskę i czapkę i wyszedł do furtki, i stał tam przez chwilę, zanim ją otworzył, i poszedł z lękiem ku van Onselen Street.

Wtedy wstał z łóżka i modlił się, i znów czynił śluby. I pomyślał, że mylił się sądząc, iż nie ma mocy Boga. Człowieka ni Państwa — na pewno jest jeszcze moc Boża, bo czyż nie znał przypowieści o człowieku, którego zlapali i otoczyli nieprzyjaciele, co chcieli tylko jego śmierci, a nie znali litości? I nic mu nie pozostało, jak tylko klęknąć i modlić się. A gdy otworzył oczy, ujrzał, że jest sam — na całym szerokim wzdzie, zupełnie sam.

Mówiono mu o tym w Stellenboschu, gdy był jeszcze młody; jedni sądzili, że to Boże dzieło, a drudzy, że ten człowiek był otumaniony głodem i pragnieniem, i że wcale nie było przy nim nieprzyjaciół. Lecz on wolał myśleć, że to Boże dzieło, którego Bóg mógłby i teraz dokonać, nawet gdyby on był otoczony i skazany na śmierć. Zaczął zastanawiać się, jak Pan Bóg by to zrobił. I przyszło mu na myśl, że ten, który go śledził, może teraz umiera, że może nawet już umarł; albo umarła Stephanie. Al-

bo że deszcz i czarne nawalnie przyjdą, choć świat zwraca się ku ziemie, i luną na ziemię, i Buffelsrivier dzień po dniu będzie wzbierał i wzbierać, występując z brzegów, zalewając dzielnicę czarnych i całe miasto i wszyscy będą w niebezpieczeństwie, tak że całą policję powoła się do pracy, dzień po dniu, i wszystkie inne obowiązki będą zapomniane. A on sam będzie harował w noc i w dzień, by zmazać z siebie grzech i dowieść swej skruchy, i ten, który go śledził, ulituje się nad nim. Albo może ocali tego, który go śledził, lub jego żonę czy dzieci, i on ulituje się nad nim. Albo może ten, który go śledził, utonie.

Tak oto w swym nieszczęściu chciałby sprowadzić śmierć na świat, oby tylko móc się ocalić; on, który błagał Boga o litość, chciałby uzyskać ją za cenę życia człowieka, dziecka czy narodu. Człowiek był w pierś i prosił o przebaczenie, i zostawił to Bogu, którego wiedza nie znana jest człowiekowi; znalazł pociechę w Bożej potęgze. Powstał na nogi, a ruch ten sprawił, że znów poczuł się nieszczęśliwy, nie widząc nic, co Bóg mógłby uczynić.

Wtedy znów się umył, od stóp do głów, i zszedł na dół na śniadanie i próbował żartować wobec Johannes. Lecz myślał tylko o kartce, tej kartce, o dwóch zwykłych słowach, dwunastu literach, które mogą zniszczyć człowieka.

Przed wejściem do komisarjatu poszedł do kuchni i powiedział Johannesowi: „Miałem uczucie, że był tu ktoś wczoraj”. A chłopiec odparł: „Nikt, baas”. A porucznik powiedział: „Ciagle tu pełno skelmów” (a skelm to taki próżniak, co wcale nie waha się przekroczyć prawa, ale naprawdę u nas w Venterpanie prawie nie ma skelmów, a jak są, to spokojni, włóczędzy i złodziejaski, nie tak jak w Johannesburgu).

Wtedy wzięła swą porucznikowską łaskę i czapkę i wyszedł do furtki, i stał tam przez chwilę, zanim ją otworzył, i poszedł z lękiem ku van Onselen Street.

Wtedy wzięła swą porucznikowską łaskę i czapkę i wyszedł do furtki, i stał tam przez chwilę, zanim ją otworzył, i poszedł z lękiem ku van Onselen Street.

Wtedy wzięła swą porucznikowską łaskę i czapkę i wyszedł do furtki, i stał tam przez chwilę, zanim ją otworzył, i poszedł z lękiem ku van Onselen Street.

Wtedy wzięła swą porucznikowską łaskę i czapkę i wyszedł do furtki, i stał tam przez chwilę, zanim ją otworzył, i poszedł z lękiem ku van Onselen Street.

Wtedy wzięła swą porucznikowską łaskę i czapkę i wyszedł do furtki, i stał tam przez chwilę, zanim ją otworzył, i poszedł z lękiem ku van Onselen Street.

Wtedy wzięła swą porucznikowską łaskę i czapkę i wyszedł do furtki, i stał tam przez chwilę, zanim ją otworzył, i poszedł z lękiem ku van Onselen Street.

Wtedy wzięła swą porucznikowską łaskę i czapkę i wyszedł do furtki, i stał tam przez chwilę, zanim ją otworzył, i poszedł z lękiem ku van Onselen Street.

go, co napisane zostało w więzieniu. I zapytałam go po treningu: — Czy przyjdiesz do nas wieczorem? — Nie ide do Kappie. — Ag — odparłam — byłeś tam wczoraj. — Nie byłem. — Będzie nam smutno — powiedziałam. — Uśmiechnął się. — Przyjdę jutro — rzekł. — A nie zapomniałeś o pikniku? — Nie, nie zapomniałem. — Uśmiechnął się. — I ośmieliłam się spytać: — Czemu nie śmiejesz się częściej? — Obym nigdy o to nie pytała, doznałam bowiem jakiegoś ukrytego rany. Popatrzył na mnie i odwrócił wzrok, i nie potrafił skryć smutku, lecz tylko ja mogłam go dostrzec. Zatem wróciły me obawy, i choć nie mogłabym powiedzieć dokładnie, co to było, poznałam, że to ma coś wspólnego z lękiem.

Tak więc wracaliśmy razem z boisk Slabberta, on, Marla i ja, i Hannes de Jongh, i młody pastor. A młody pastor szedł z Marlą i przekomarzał się z nią, aż blask jakiś pojawił się w jej twarzy i oczach. A mnie zaciękawilo, czy mój siostrzeniec też to zauważył, ale nie miałam pojęcia, że on widział tylko jedno — młodego Vorstera przed nami. Bo młody Vorster nigdy nie szedł przed nami; szedł zawsze obok swego porucznika, a tego wieczora wracał samotnie.

Kiedy przyszedł do domu i wykopał się, siedział bawiąc się jedzeniem, które mu podał Johannes. A chłopiec rzekł: — Baas, baas nie nie je. — Nie jestem głodny, Johannes. I wtedy zagadnął chłopca niedbale: — Johannes, o czym ostatnio mówił się wśród Murzynów? — Wiele chłopiec opowiedział mi tu i owo, ale nie ważne. — A co to za staruszką Estherą? — A Johannes odparł: — Ona jest już bardzo stara. Gwarzyła tak o staruszce Estherze, błądząc wokół niej, tak że gdyby było coś ważnego, chłopiec opowiedziałby mi. Ale ani razu nie wspomniał Stephanie. I porucznik pomyślał o sobie, że był niemały, bo przecież boy, choć miał niecierpienie w dzielnicy czarnych, nocował w domu na tyłach jego domu, i cóż mógł w ogóle wiedzieć? A jednak człowiek w rozpaczy siemki się chwytą.

Johannes, przynieś mi papierosy. Johannes poszedł po papierosy, a kiedy wrócił, spytał: — Czy pan już przestał palić fajkę? — Później poszedł do Kappie, i nastawili płytę z Sonatą księżycową, ale Kappie mówił, że porucznik nie słuchał muzyki i co raz to zdręztał straszliwą udręką swą duszy. I Kappie dostrzegł papierosy i niepokój, a jak nie niepokój, to ból w ciemnych oczach. A dąby on wszystko, żeby móc przemówić do człowieka, którego kochał. ale się bał, jak ktoś, kto chce wejść i robi krok, żeby wejść, i nie może się ośmielić wejść do pokoju kogoś bardzo wielkiego.

Później porucznik wrócił, i słyszał leżąc w łóżku zegar bijący z wielkiej wieży jedenastą godzinę i dwunastą godzinę. Tak skończył się pierwszy dzień trwogi. Lecz nie skończyła się trwoga, bo słyszał jeszcze jak zegar bije pierwszą, drugą i trzecią godzinę, nim Bóg ulitował się i zesłał nań sen.

ADRUGI dzień trwogi był tak straszny, jak pierwszy — od chwili gdy wziął czapkę i łaskę i przystanął na moment przy furtce, powtarzając w duchu: „Boże Najlitościwszy, ostaniaj mnie dnia tego” — i ruszył ulicą jak ktoś, kto wychodzi ze schronienia w niebezpieczeństwo. Nieznanego, i szedł z lękiem ku van Onselen Street.

Kiedy wszedł, młody Vorster siedział za biurkiem, powstał i oddał mu część, bez uśmiechu, ze ściągniętą i nieszczytliwą twarzą — jak ktoś, kto poświęcił się smat życia i swą majątkość Bogu, nagle odtkiły, że już w Niego nie wierzy. Poszedł więc porucznik z ciężkim sercem do swej kancelarii, i poczuł się tam bezpiecznie jak w domu, w czterech ścianach, gdzie nie widzi oczu, nie słyszy głosów, nie cierpi odtracenia.

Udał się na inspekcję, a jeśli coś zauważył, nie rzekł nic. Bo gdyby wyrzekł słowo, jakby nie było lekkie, niedbale czy wspaniałomyślnie, mogłoby sięgnąć nań nienawiść tego, który mógł nawet teraz tać w sobie narzędzie zdolne go zniszczyć. Przetę gotów był ścierpieć wszystko. A kapitan wciąż był miły, i kiwnął mu głową tak, jak każdego dnia.

Lecz tegoż ranka spotkała go rzecz najstraszniejsza. Połano go do Labuschagne'a, do garażu i Service Station, by zalał jakiegoś głupekawo: otóż garaż był niedobry i Labuschagne pozwalał sobie samowolnie wystawiać auta co rano na ulicę, a chował tylko na noc. A ostatnio nabrał jeszcze gorszego przyzwyczajenia: zostawiał je na dworze i w dzień, i w noc, toteż porucznik szedł powiadzić, że i tak zrobiono mu łaskę, iż może w dzień trzymać auta na ulicy, niech więc przynajmniej chowa je do garażu na noc. Powiedział to Labuschagne'owi grzecznie, nie jak policjant winowajcy, ale jak przyjaciel przyjacielowi. A Labuschagne czuł

Wę bardzo zobowiązany za grzeszność porucznika, poczęstował go kawą i obiecał już tak nie postępować więcej. Labuschagne zachowywał się przyjaźnie, można było sądzić, iż nie posiadał tajemnicy, i porucznik w swym osamotnieniu i niepokojach poczuł się podniesiony na duchu — ale na pewno żaden Labuschagne nie usłyszał bolesnego westchnienia i nie ujrzał znamion bólu między brwiami, gdy porucznik nagle przypomniał sobie kartkę, tę właśnie kartkę, i poznał, że nie ma dlań pocieszenia.

Potem wyszedł od Labuschagne'a i udał się z powrotem wzdłuż van Onselena Street, a przy furcie swego ogródka stał stary Herman Geyer, bo on, jak mój brat, zostawił fermę synowi i przeniósł się do miasta, i często stał tak przy furcie, szukając okazji do pogawędki.

Więc porucznik wykrzyknął wesoło:

— Goeie More, Meneer Geyer, prawda jak dziś ładnie?

Lecz stary Geyer nie odrzekł ani słowa. Wyjął z ust fajkę i splunął w złości i pogardzie. Odwrócił się tyłem do niego i odszedł ścieżką do domu.

Otóż w strachu można sobie wyobrazić wiele rzeczy. Bo zamknięcie się w sobie i milczenie chłopca może być spowodowane jego własnymi kłopotami; a kapitan milczy, bo jest milczący z natury. Lecz jeżeli ktoś nie odpowiada, a pluje i odwraca się plecami, coż to innego może oznaczać? Więc wielkie fale lęku zaczęły się piętrzyć i piętrzyć, i cała siła uszła z jego ciała, a twarz mu pobladła jak płótno, a śmierć przyjałby wówczas jak Boże zmiłowanie. Bał się, aby się nie potknął i nie upaść, poszedł więc do naszego parku — co wcale nie jest parkiem, tylko ogrodzonym polem, gdzie posadzone drzewa — i usiadł na ławce i mówił: „Panie, zmiłuj się nade mną, Jezu Chryste, zmiłuj się nade mną”. A wszyscy, idąc ulicą myśleli, że ot, porucznik tylko odpoczywa sobie parę chwil od zajęć, siedząc na ławce w parku, i nie wiedzieli, że to człowiek skonany, że woła do Boga o litość. Bo dla nich świeciło słońce i gołębie nawyływały się wśród drzew, a ich największe kłopoty to generał Smuts, rząd, rumor, że czarni planują powszechny strajk i pochód w Johannesburgu...

Zmusił się, żeby wyjść spod ochrony parku na ulicę, i udał się w trawie do komisariatu. Znow stwierdził, że młody Vorster jest milczący i nieszczęśliwy. Skrył się do swej kancelarii. Później, o pierwszej, zmusił się znowu, żeby wyjść spod ochrony parku w niebezpieczeństwo ulic, lecz nie potrafił stawić czoła widokowi domu Hermana Geyera i skreślił w jedną z przecznic po przeciwnej stronie, a później w lewo, i jeszcze raz w lewo, aż znalazł się pod ochroną swego domu — nie mógł sobie przypomnieć, żeby tak kiedykolwiek postępował. I nie chciał jeść na stołcu, tylko w domu; i wcale nie chciał jeść, więc wypił wiele kawy i palił papierosy. I znowu spytał: „Johannes, o czym się mówi wśród czar-

nych?” Lecz chłopiec nie powiedział mu nic godnego uwagi.

Później poszedł do swego pokoju, a nie wyjmował już teraz książki z kartką, bo nie jej nie mogło zmienić, ale czynił ślubny i modlił się, i marzył o wojnie, o deszczu, który by spadł z chmurnego, czarnego nieba. Nieba, co nie rozwarłoby się jak zwykle, by ukazać słońce, lecz byłoby takie zawsze, ciężkie i czarne, dzień po dniu, tydzień po tygodniu, wylewając wśród gromów i błyskawic wody tak wielkie, jakich dotąd nie widziano, obmywając świat i niedzę człowieka, i jego przewinień, topiąc ziemię, by gdy już przyjdzie ona do siebie, nikt żywy nie pamiętał, co było przedtem. Lub żeby ten, który go śledził, umarł, albo żeby umarła Stephanie. Albo, gdy zawiedzie wszystko inne, żeby umarł on.

*

To była moja pierwsza myśl o śmierci, lecz otrząsnąłem się z niej — nie żebym się bał, ale wydała mi się jedynym niewybaczalnym, złewieniem ciała Bożego, zwątpieniem w Bożą litość. A może jednak stanie się jakiś cud, lecz jak — nie wiedziałem. A w tak żalnym byłem stanie, że wziąłem książkę w ciemny kąt pokoju i wyjąłem kartkę ludząc się, że przez jakieś wielkie miłosierdzie zmienią się słowa. Lecz brzmiały: WIDZIAŁEM CIĘ, zupełnie jak przedtem. Zaczęłem więc myśleć, iż mógłbym życia się pozbawić, jeśli nie stanie się cud.

*

ZMUSIŁ się znowu, by wyjść na ulicę, nie ku van Onselena Street i obok domu Hermana Geyera, ale w bok od van Onselena Street, a potem w prawo i w prawo — znowu pod ochroną swego pokoju. A dzień płynął mu wolno i w męce.

Wieczorem przyszedł do nas, milczący i ponury, zamknął w sobie, i usiadł przy kolacji: on, jego matka, siostra i ja. A jego ponurość i milczenie zawiły jak całun nad nami — nad matką jego i nad mną. Bo dziewczyna była zakochana. Po kolacji przeszliśmy do pokoju mego brata, a brat był posępny i przygnębiony, i czytał nam dziesiąty rozdział Księgi Hioba. I mogłybyście zapytać, czemu to pamiętałem, gdyż brat mój czytał bez planu, ot, co sobie wybrał i na co miał ochotę. A jednak pamiętam, bo jest tam napisane...

*

Czemuś mi wywiódł z żywota? Bodałbym był zniszczał, żeby mię oko nie widziało! Byłbym, jakobym nie był, z żywota przeniesiony do grobu.

*

PRZYPOMINAM sobie, że powiedziałam w jakimś dziecinnym nastroju: „Zła jestem, że się urodziłam”. I przypominam sobie, że on rzekł na to w głębokim,

czarnym smutku: „To ja powinienem być zły, że się narodziłem”.

A prócz mnie i on też zapamiętał, co czytał mój brat. Bo między innymi to napisał w więzieniu.

A zwykle, gdy odchodził do domu, odprowadzaliśmy go z ceremoniami do drzwi, a ja żartowałam sobie z niego, mówiąc na przykład: „Nigdy cię nie widział na boisku, kiedy chłopcy grają w rugby”; — lub też: „Tak często do nas przychodzisz, że już nam spowszedniały twoje wizyty”. A jego matka mówiła: „Zimno jest, więc płaszcz porządnie”; — albo upominała: „Jesteś niegrzeczny, bo nie wziąłeś szalik”. Lecz tego dnia nic nie rzekła, tylko podała mu płaszcz i szalik i patrzyła nań wzrokiem pełnym miłości i troski. Ja też nic nie powiedziałam prócz: „Dobranoc, dziecko”, gdy pocałował mnie w same usta, jak to zwykle czynił.

A gdy odszedł, spojrzaliśmy na matkę, lecz ona kryła wzrok przede mną. Tak to i na nas spadł cień, pierwsza z chmur huraganu, co wymiotł nas precz. Ona jednakże ani nie myślała, ani nie wiedziała o huraganie, tylko bolała ją, że jej dziecko ma zbyt wielki kłopot, by ona mogła go zrozumieć. A mnie się zdaje, że myślała, iż chodzi tu o Nellę, i nie mogła tego pojąć. Co do mnie, nie wiem już, o czym myślałam, miotana między lękiem a pociechą. Tak więc poszłam do łóżka i modliłam się, a on też poszedł do łóżka i modlił się, czując się bezpiecznie w swym domu, który bezpieczeństwo nie dawał, gdzie zegar wydzwaniał koniec dnia trwogi, wieszając początek nowego.

Trzeci dzień trwogi był najgorszy — nie dlatego, że ani kapitan, ani młody Vorster nie chciał się uśmiechnąć, ale dlatego, że Herman Geyer planął i odwrócił się. I znowu szedł okrężną drogą i za nic nie chciał przejść obok domu Geyera. A Johannes wciąż nie umiał mu nic powiedzieć.

Nie mógł już dłużej znieść tych mąk i pomyślał, że pójdzie do kapłana i zapyta go, czemu jest milczący i oziębły. Lecz co, jeśli przyczyną tu jest coś innego, sprawa osobista, którą kapitan chce zachować tylko dla siebie, jeśli spojrzę za niego oziębły, że złością, i powie: „Panie poruczniku van Vlaanderen, pan się zapomina, proszę niech się pan zajmie tym, co do pana należy”.

Więc kiedy przyszedł młody Vorster i przywiózł mu jakieś papiery, on wskazał mu krzesło, a chłopiec usiadł sztywny i milczący, jakby to zrobił dlatego, że mu kazano, bo z własnej woli nie usiadłby w pokoju takiego człowieka. Wtedy porucznik zaczął przeglądać papiery, lecz widział, że chłopiec nie patrzy na niego, lecz siedzi utkwiony wzrokiem w stole, sztywny i milczący.

Wtedy porucznik wciąż przeglądając papiery rzekł niedbale:

— Co ci jest, Vorster?

Ale chłopiec nie odpowiadał i porucznik dalej przeglądał papiery.

— Pytałem cię, co ci jest — powiedział.

— Nic mi nie jest, panie poruczniku.

Więc porucznik, zdobywając się na wielką odwagę, rzekł:

— To nieprawda.

A później powiedział:

— Coś cię gnębi.

A później znowu powiedział ośmielając się na cień rozkazu w głosie:

— Coś cię gnębi.

A później znowu powiedział:

— Coś cię gnębi, ale nie chcesz mi powiedzieć co.

Chłopiec na chwilę spojrzął mu w oczy i rzekł:

— To prawda. — Znowu spuścił oczy.

Więc porucznik, jak człowiek, co się waży na wszystko, rzekł mu:

— Mnie możesz powiedzieć.

A chłopiec odparł:

— To okropne do powiedzenia.

A porucznik zapytał szciszonym głosem:

— Czy takie bardzo okropne?

Więc chłopiec odparł również szciszonym głosem:

— Bardzo.

A porucznik spytał:

— Czy to jakaś okropna władomość, którą usłyszałeś?

Chłopiec odparł:

— Tak.

— Od kogo?

— Z listu.

Więc porucznik w męce, w udrczeniu rzekł:

— Możesz mnie ten list pokazać?

Ale chłopiec nie odpowiadał, więc porucznik powtórzył desperacko:

— Możesz mi ten list pokazać?

Bo jeśli był taki list, lepiej było już go raz ujrzeć, lepiej teraz ulec ciosowi, niż żyć w męce, w udrczeniu i mimo to ulec zagładzie.

Chłopiec wyjął list, luźny, bez koperty, i podał porucznikowi. A porucznik rozłożył go wolno, z sercem złamanym. I zobaczył, że był to list ze sklepu w Johannesburgu, nakazujący chłopcu zwrot dwudziestu funtów. Siedząc przeto z listem w ręku dziękował Bogu za zmiłowanie.

— Nie masz tych dwudziestu funtów — powiedział.

— Nie, panie poruczniku.

— Bolsz się, że rodzice się o tym dowiedzą.

— Tak, panie poruczniku.

— I nie wiedziałeś, do kogo pod słońcem zwrócić się o te dwadzieścia funtów.

— Nie, panie poruczniku.

Porucznik więc wyjął książeczkę i wypisał czek na dwadzieścia funtów. Dał go chłopcu, a on wsparł głowę o biurko i wyjąkał: „Panie poruczniku, panie poruczniku!” — Łak ze porucznik musiał wstać i zamknąć drzwi, a później podszedł do okna i zaczął aż chłopiec skończy płakać.

Kiedy chłopiec skończył płakać, porucznik rzekł mu:

— Byleś w nieszczęściu.

— Tak, panie poruczniku.

I chłopiec opowiedział mu, jak nie mógł spać i co noc słyszał, godzina po godzinie, bicie wielkiego zegara z wieży kościelnej; jak się bał, że kapitan i porucznik dowiedzą się o jego hańbie, a on nie mógł się ośmielić pójść do kogokolwiek i poprosić o taką sumę pieniędzy.

Powstał z krzesła i spojrzął na porucznika promieniejącymi oczyma.

— Przyjdzie czas, że się panu odwdzięczę, panie poruczniku. Nigdy tego nie zapomnę.

A porucznik wywrzekł w nagłej złości:

— Boże wielki, myślisz, że pozwoliłbym ci zadreżać się przez głupie dwadzieścia funtów?

Tak więc chłopiec odszedł, a skoro tylko przekroczył próg, porucznik zaczął dziękować Bogu za wielką łaskę. I ważył się na nadzieję jeszcze większej łaski. A jednak zamarlał w nim ta nadzieja, gdy przypomniał sobie kartkę i zachowanie Hermana Geyera, który planował i odwrócił się do niego plecami. Lecz znowu wstąpiła w niego nadzieja, gdy pomyślał o łasce, której doznał z tym chłopcem — z dwudziestoma funtami.

Przeło udał się do domu na lunch, a szedł zwykłą drogą i zobaczył starego Hermana Geyera, który przy furcie czekał na okazję do pogawędki. Za późno było już się cofnąć. A gdy dochodził do furtki, z bijącym sercem, stary Herman Geyer odwrócił się i odszedł ścieżką do domu. Pojął wówczas, że był niemądry znajdując ukojenie w takim głupstwie, i lek wrócił doń tak, że znowu nie chciał jeść w stołcu, pod gołym niebem — kazał Johannesowi nakryć w domu.

Teraz, po tych dniach lęku i bezsenności, był zbyt wyczerpany, by walczyć, więc gdy nadszedł czas, by wziąć łaskę i kapelusz i wyjść do miasta, skreślił z van Onselena Street w prawo i znowu w prawo, i doszedł do komisariatu spokojną drogą. A gdy przechodził van Onselena Street, spotkał Hannesa de Jongh, który spytał go: „Czy jesteś w dobrej kondycji przed meczem?” — Bo ten mecz to nie zwykły mecz, grał w nim Północny Transvaal przeciwko krainie traw, a Północny Transvaal słynie z chłopów na schwał. I pomyślał o tym

— Wytrzymaj mi zaraz podługę, ty ówku ze wsł! Książd daruje — powiedział Ignac wchodząc i niosąc utkaną sianem skrzynkę. Postawisz ją na krześle, odsapnął i uchylił wieko. — Książd dobrodziej spojrz...

— Chryste Panie! Witraż... — zanurzył obie ręce w skrzynkę i ostrożnie przesyppwał szklane płytki. Oczy mu błyszczały. Światła przez nos. — Bogu dzięki, Bogu dzieki...

Ignac kicał w koło i chichocząc krzywił spiewającą mordkę. Chłopiec odwrócił się do nich plecami. W dużym, szabrowanym lustrze pelgaly dwie uwłosione ręce przesyppujące tłustymi palcami szklane tece. Chłopiec sięgnął po brzytwę. Przysknął oczy.

Gdy je otworzył, w lustrze był już cały książd. Z brodawką na szczeciastym podgardlu i nastroszonymi brwiami. Palce biegły mu szybko, jakby odmawiał różaniec na guzikach zapinanej sutanny.

— Bogu chwala! Innym razem, panie Ignacy. Dajś nie czas...

— Jak to, książd proboszczu?

— Chce mieć zaraz witraż na plebanii. Nie będę się golił. Znak Boży dla całej parafii...

— To dobrze, że książd nie będzie się golił — powiedział chłopiec wodząc palcem wzdłuż ostrza. — Ja bym księdzu...

— Co??

— Tę brodawkę... — powtórzył chłopiec mierząc brzytwą w lustro.

— Panie Ignacy... Panie Ignacy... Chłopiec skulił się, przysiadł, ale książd podbił spadającą pięść.

— Nie godzi się w dniu tak szczodrym gruchać kości grzesznikom. A ciebie, chłopcze — unosił dłoń nad rzęsą — bicz sumienia wybuchosze...

— Amen — dopowiedział Ignacy.

Dzwignął skrzynkę. Nieśli. Uchodzili ze skrzynką. Potwierdzały to lustra. Potwierdzały oczy.

— Pospizytaj zakład! — rzucił Ignac rozkraczony w progę i szepnął: — Ty gówniarzu...

Chłopiec spojrzął na brzytwę, westchnął i złożywszy ostrza wsunął ją w kieszeń. Poszedł wolno śladem siana, które smugą ciągnęło się po podłodze. Uchodzili ze skrzynką... Ten kulawiec i ten w sutannie. Biegał z nimi pies z językiem różowym. Pasły się krowy łuciate. Szli po złotym piachu. Mignęła zwykła rzeka sina. Człapał zwykły karyk pod niebem niebieskim. ...Tylko butelka z kolońską wodą pozostała zielona,

Jerzy Krzysztoń

JERZY KRZYSZTOŃ

BRZYTEW

muchy upstrzyły, kitle są całe tłuste. Włosy leżą różne: rude, czarne, siwe. Brudne.

— Kiedy nie chce. Ot, co.

— Aha, nie chcesz. No, to powiedz jak brat bratu, pomyśl się i powiedz: czego ty chcesz? Nie tam te auta i niwertstet, nie tam te różne fiu-bidziu. Pomyśl się dobrze, jak chłop dorosły, tak se pomyśl.

— Jużem pomyślał.

— No?

— Ja bym... poszedł na... marynara. Ja bym popłynął. Het, het. Ja bym znalazł wyspę. Ja bym znalazł taką wyspę. Taką wyspę... To by była wyspa bez fryzjerów. Cała wyspa i ani jednego fryzjera! Ot, co.

— I sam byś wszystkich golił, nie?

— Ignac...

Ale Ignac już się głęboko kłaniał w progę. Podrygiwał na swej krótszej nodze, rozciągał blade usta w uśmiechu. I mamrotał:

— Na wieki wieków, książd proboszczu, na wieki wieków.

— Uff spiekota, że nie daj Bóg, spiekota.

Rzopiął sutannę, usiadł i drapał się po włochatej pierści. Ignac ręcznikiem oganiał muchy.

— Modym się, bracia, żeby nie było suszy. Pić, panie Ignacy. Do Matki Bożej się modym. Przyjdzie wieczór na nabo — bobo... bobo... bulgotał przez chwilę. — Ech, to ci kwas, panie Ignacy. Świętych Pańskich błagajmy, bracia... Na plebanii takimogiem nie powąchał! Znakomity, panie Ignacy. I chłopca też zabierze... Chciałem się ogolić.

Ignac klasnął w ręce.

— Zostawże to szkieleto! Słyszysz?

Chłopiec odjął zieloną płytkę od oczu i stał zgarbiony w oknie. Wzdrygnął się.

— Chodź no tutaj! Chodź tu, mówię. Dawaj to.

— Pobijecie?

— Nie bój się, pokaż.

Ignac wziął płytkę, przetrął ręcznikiem i niosąc ją w palcach, powiedział:

— Książd dobrodziej spojrz, co mu to przypomnia?

Książd przestał się drapać. Wyciągnął rękę i ważył teraz w dłoni wszystek zielony świat: i gołębie,

ZIELONO. Gdzie nie spojrzysz — zielono. Kolec kościółka. Gołębie trzepoczą w zieloni. I ziemia — zielona, i rzeka zielona, i kwiaty, stogi, komary. Na łąkach rwą trawę krowy zielone. Dym ciągnie zielony ku chmurom zielonym na niebo. Nad rzekę zmierzają chybitymiw cięgnem kaczki — wszystkie zielone. Pod niebem zielonym, w piachu zielonym leży pies z zielonym ozorkiem i dyszy. Gościńcem zielony koń tętni. Już pędzi przez łąkę, już pędzi przez pola — nad rzeką, nad ziemią, kościółem i niebem powiewa zielona, powiewa wielka, wielka grzywa zielona...

— Franus, zostaw że to szkieleto. Słyszysz, Franus?!

Przycupnął, odgarnął włosy z czoła. Powieki mu drżały.

— Oczy masz całkiem mokre. Co ty tam widzisz, Franus?

— Widzę, że jestesie zły.

— Jestem twój starszy brat, Franus. To przez te szkieleta tak widzisz, co? Przez te twoje szkieleta. Rzuć to, rzuć! Mówię ci jak brat bratu. Muszą się tobą opiekować, nie?

— Muscie. Ech, żebyście wy nie nusieli...

— To co?

— To ja bym poszedł na niwertstet.

— A co byś tam robił, Franus?

— Ja bym się uczył.

— Strzyc byś się nauczył!

Pokój jest jeszcze zielony. Cały brunatnozielony. Dwa stare grzyby-fotele, i komary nad cichą powierzchnią luster, i kitle całe w jaszurczych cętkach. Poszyte w kępkach zielonych włosów. Płder podobny do szlamu. I głowa Ignaca z mchu utkana. Z tyłu, za oknem, tętent konia.

— Nie przyjmą? Niechby... Ja bym poszedł do samochodowej fabryki.

— Tak?

— Ja bym budował auta. Duże auta. Ja bym znaczek przyzepiał. Wszyscy by wiedzieli, że to zrobiłem ja, Franus Wilczak. Tak, to tak byłoby wypisane...

— Tak?? A strzyż??... No, ty strzyżesz ludzi jak baranów.

Ignac jest chromy. Stać w miejscu nie potrafi. Zaraz się kolebie. Ni strzyć, ni golić. Przez tę krótką nogę.

— Czemu wy? Przecież u mnie brzytwę idzie gładziutko. Nawet proboszczowi krzywdimy nigdy nie zrobił. A strzyżenie...

— Ot, właśnie. Strzyc byś się mógł nauczyć.

Ignac ma gębę w piegach, lustra

meczcu ze zgrozą, bo jeśli ten, który go śledził, miał weń uderzyć, niechby to zrobił teraz lub po meczu, a jeśli była w nim chytryść i złość, mógł czekać właśnie na ten dzień — i w jednym dniu trzydziści tysięcy ludzi poznałoby, co Pieter van Vlaanderen uczynił i zapamiętałoby go ze specjalną goryczą.

— Czuj się świetnie — odparł.

A Hannes rzekł, nie jak człowiek, który sądzi, lecz jak ktoś lekko zaniekojony:

— Czy to prawda, Pieter, że zaczęłaś palić papierosy?

— O, parę sztuk dziennie.

Hannes de Jongh odetchnął z ulgą.

— Bo ja słyszałem, że dwadzieścia czy trzydzieści — powiedział.

— To była prawda, że palił w czasie trwogi po dwadzieścia, trzydzieści sztuk dziennie.

— Parę sztuk dziennie nie szkodzi — rzekł Hannes — a dwadzieścia czy trzydzieści to takie nieprawdopodobne, że nie mogłem uwierzyć.

— Danie tyle palił.

— Danie nie był wielkim graczem — odparł Hannes krótko.

— Był dobrym graczem.

— Ja nie mówię o dobrych — rzekł Hannes — mówię o wielkich.

Z tymi słowami odszedł, a porucznik udał się na komisariat; a było to popołudnie, w którym Japie przyszedł go odwiedzić. Nosił on z sobą tekę swoich papierów, i lubił uśladzły otwierać teckę i wyjmować wszystkie papiery, przeglądając je bez słowa, jakby mu przywozili wielkie myśli i wspomnienia niebywałych transakcji, zbyt ważkich i doniosłych. By dzieląc się nimi z byle kim. Ale naprawdę nie był taki próżny i zaraz znów wlaził we własną skórę i rozśmieszał się byle czym. A teraz wyjął jakieś papiery w okładkach, które Anglicy zwą segregatorem, i spojrzął na nie i westchnął:

— Ach, ta Stephanie.

A porucznik w jednej chwili przybrał postawę obronną i rzekł:

— Co z nią?

— Pracuje dobrze — odparł Japie. — Stara Ma Griesel powiada, że jeszcze nie miała takiej dziewczyny.

A porucznik rzekł:

— To dobrze.

— Mamy więc nadzieję, że się tam utrzyma i nie trzeba będzie ruszać dziecka. Pomyśl tylko, twoja ciotka Sophie, zgadza się, żeby nie zabierać dziecka, ale uważa, że powinniśmy przenieść dziewczynę z Venterspanu.

— Naprawdę?

— Tak. Ale powiedz, bracie po co? Czyż zmieni się gdzie indziej? Nie, uparli się: wysyłają stąd dziewczynę, wysyłają stąd tego klonkie, wysyłają i wysyłają. Nie mają najmniejszego pojęcia. Ale rozumiesz, ciotka Sophie uwzięła się na mnie, bo zna mnie od dziecka, i wciąż myśli, że może mi rozkazywać. Będziesz musiał z nią pogadać, stary.

A porucznik siedział i rozmyślał, że będzie musiał z mną porozmawiać o Stephanie.

Japie spakował papiery z westchnieniem.

— Trudna to sprawa uporządkować kraj — powiedział.

— A jak się ma dziewczyna na W?

Japie spoważniał.

— Bardzo źle, bardzo źle.

Społgądał na porucznika ponuro.

— Dlatego już wcale nie żartuję. Wstał z papierami w ręku.

— Malżeństwo to poważna sprawa — powiedział. — Tak długo wystrzegaliśmy się go, że czasem strach mnie oblatuje na samo jego wspomnienie.

Powziąwszy decyzję zwrócił się do przyjaciela.

—

Czy problem rzeczywistości nierozwiązalny?



Plaga

WYDAWAŁOBY się, że na temat alkoholizmu i jego ujemnych skutków powiedziano i napisano wszystko, co można na ten temat powiedzieć. Problem jest wyczerpująco opracowany od strony teoretycznej, jego szkodliwość zarówno indywidualna, jak i społeczna, niewątpliwie stwierdzona. To wszystko wiemy, lecz mimo to pijaństwo nie maleje, a nawet wprost przeciwnie, w niektórych grupach ludności i częściach kraju przybiera wprost zaskakujące rozmiary.

Dlatego też wśród wielu ludzi budzą się wątpliwości co do skuteczności i celowości walki z alkoholizmem.

Nie chodzi nam o całkowite usunięcie zjawiska picia napojów alkoholowych, lecz o sprowadzenie go do właściwych rozmiarów: a więc likwidację alkoholizmu jako klęski społecznej.

Walka z alkoholizmem, gdyby była sprawnie prowadzona, nie byłaby bezskuteczna. Istnieją liczne przykłady w historii, że narody najbardziej rozpite i rozprężone sto lat temu, a nawet 50 lat temu, dzisiaj świecą przykładem trzeźwości. Takim przykładem mogą być kraje skandynawskie lub naród szwajcarski, gdzie obecnie płynny owoc wypiera nawet wino i piwo, a restauracje i hotele bezalkoholowe stają się coraz liczniejsze.

Jeżeli społeczna szkodliwość alkoholizmu nie ulega żadnej wątpliwości, a istnieją, jak uczy doświadczenie, możliwości poprawy i ratunku, punkt ciężkości przesuwa się w dziedzinę strategii walki z alkoholizmem jako zjawiskiem społecznym w skali ogólnokrajowej. Opracowanie ogólnej linii działania powinno należeć do jakiegoś komórk centralnej władzy państwowej, bądź też wejść do podstawowego zakresu działania Frontu Narodowego. M. in. do zakresu kompetencji tej komórki należałaby zasadnicza kwestia wprowadzenia przymusu ustawowego leczenia nałogowych pijaków, którego projekt podobno leży gotowy od kilku lat. Silnie domagał się uchwalenia podobnej ustawy prof. Batawina we wstrząsającej swą wymową książce „Społeczne skutki alkoholizmu”, recenzowanej swego czasu w „Dziś i Jutro”.

Lecz obok strategii istnieje i taktyka akcji przeciwalkoholowej przebiegającej bezpośrednio w terenie.

Proponowałbym, byśmy spojrzeli tym razem na problem walki z tą klęską przez pryzmat jednej z tych, niestety niewielu, instytucji, które prowadzą praktyczną działalność przeciwalkoholową. Ta instytucja jest „Poradnia przeciwalkoholowa przy wojewódzkiej poradni zdrowia psychicznego” w Poznaniu.

KONCEPCJA PORADNI

Poradnia istnieje nie tak dawno, bo założona została w 1950 r. Zadaniem jej jest leczenie alkoholików przy pomocy trojakiego rodzaju środków: psychoterapii indywidualnej i zbiorowej, podawania chorom preparatów chemicznych, a więc przede wszystkim „anticołu” oraz — świetlic, do której mogą przychodzić pacjenci razem ze swoimi rodzinami zarówno w trakcie leczenia, jak i po wyliczeniu. Leczenia psychoterapii polekające na oddziaływanie i traktowaniu psychologicznej odporności pacjentów, to rzecz niezmiernie wagi w leczeniu alkoholizmu. Temu celowi mają służyć m. in. starannie przygotowane poradniki, opracowywane tematów przez samych pacjentów na podstawie własnych przeżyć, dyskusje (zazwyczaj odbywane), omawianie spraw wychowawczych dzieci itp.

Przy poradni działa skrytka „samopomocy pacjentów”, w skład którego

wchodzić ci z pacjentów, którzy posiadają za sobą co najmniej 3 miesięczny okres abstynencji. Aktywność ta zarówno wydajnie pomaga lekarzom w odzyskaniu na swoich współtowarzyszach niedoli przy pomocy perswazji i namów — a jak wiemy alkoholicy posiadają bardzo słabą wolę — jak również rozciąga nad nimi opiekę, przygotowuje imprezy, pogadanki, wycieczki itp.

Gdy poniedziałek (godziny wieczorne) przeznaczony jest na kontynuowanie psychoterapii, sobota poświęcona jest zawsze na rozrywki i imprezy kulturalne, które odbywają się w świetlicy poradni. Duszą każdej świetlicy jest zawsze kierowniczką. Od jej talentu i zapatu zależy rozwój i atrakcyjność świetlicy, a co dopiero tego rodzaju świetlic, gdzie trzeba umieć pociągnąć do ludzi, nastawionych nieraz nieufnie i krytycznie, pełnych jeszcze pokus i bynajmniej nie zawsze przekonanych o niewątpliwie szkodliwości picia alkoholu.

Dotychczasowa kierowniczka świetlicy poradni, studentka psychologii, doskonale wywiązywała się ze swej funkcji, ale niestety obecnie zrezygnowała z pracy z powodu zbyt niskiego wynagrodzenia (500 zł). Poradni nie udało się, mimo starań, zdobyć dodatkowych funduszy na podniesienie uposażenia.

Poradnia, mimo krótkiego czasu swego istnienia, może pochwalić się wieloma sukcesami. Przede wszystkim procent całkowite wyliczonych, wg otrzymanych informacji, jest dość wysoki, bo sięga ok. 50 proc. uczęszczających stale na leczenie. Wśród pacjentów większość stanowią oczywiście mężczyźni w wieku od 20 do 60 lat. Przeważają roczniki średnie. Młodzież stosunkowo łatwiej jest wyleczyć, bo nie dokonali się u niej jeszcze chorobowe zmiany mózgowo (jak zanik pamięci, poczucie etycznych, krytycznych itp.).

Gdy przeprowadzono w 1952 r. ankietę wśród pacjentów w kwestii ilości dni abstynencji, to okazało się, że w okresie 3 miesięcy przed rozpoczęciem leczenia i w ciągu 3 mies. w trakcie leczenia, otrzymano interesujący wynik: 48 osób, które wypełniły ankietę, podały dla okresu przed leczeniem ogólnie 228 osobodni, w których piły alkohol, a dla tego samego okresu po rozpoczęciu leczenia — tylko 10 osobodni „alkoholowych”.

Innego rodzaju sukcesem są z reguły udane bezalkoholowe zabawy sylwestrowe, wieczorki tańeczne (również bezalkoholowe), gwiazdki dla dzieci i młodzieńców, wspólne imprezy czy wycieczki.

NIEPOKOJĄCE OBJAWY

Lecz istnieją jednak pewne niepokojące objawy, które mogą budzić obawę o przyszłość tej pozytywnej placówki. Otóż gdy w r. 1951/52 przeciętnie odwiedzało świetlicę poradni w poniedziałki ok. 60 osób, dzisiaj liczba ich rzadko przekracza 30 osób. Pacjenci wspominają pierwsze lata istnienia poradni, gdy w świetlicy było tak pełno, że trudno było znaleźć wolny stolik. Niewątpliwie nie bez wpływu pozostał tu fakt rezygnacji z pracy wartyściwej sily, prowadzącej świetlicę. Lecz istnieją i inne, głębsze powody. Rozmowy z pacjentami i przewodniczącym „samopomocy pacjentów” ujawnia różne bolączki. Jest rzeczą oczywistą, że tego rodzaju placówka, aby mogła — przy braku ustawy o przymusowym leczeniu alkoholików — pomyślnie się rozwijać, musi być otoczona zarówno życzliwym zainteresowaniem i zrozumieniem dla swojej pracy ze strony społeczeństwa, a przede wszystkim organizacji społecznych i związków zawodowych. Niestety tak nie jest. Można by wylizać wiele dowodów braku zrozumienia dla działalności poradni. Przede wszystkim brak zainteresowania ze strony miejscowej prasy i radia. Stale propagowanie poradni, podtrzymywanie zainteresowania jej pracą jest rzeczą konieczną, niemal warunkiem jej społecznej skuteczności. Jest rzeczą zupełnie niezrozumiałą, że takie masowe organizacje jak Liga Kobiet czy związki zawodowe, z natury rzeczy powołane do czynnego popierania każdej akcji przeciwalkoholowej, w

ogóle nie interesują się pracą poradni.

Jeszcze w 1951 r. Okręgowa Rada Zw. Zaw. udzieliła 3-krotnie pewnego zasiłku pieniężnego poradni, lecz obecnie zapomniała o jej istnieniu. Tymczasem świetlica poradni tego typu, jeśli ma być bardziej atrakcyjna niż lokale alkoholowe, musi urządzać wieczory rozrywkowe na rzeczywiste dobrym poziomie. Alkoholicy, ludzie z natury towarzyscy, przyzwyczajeni do gwaru kawiarni czy restauracji, chętnie przychodzą do takiej świetlicy, w której można spędzić przyjemnie czas. Lecz na to potrzebne są fundusze.

Również współpraca z Milicją Obywatelską nie układa się pomyślnie, a raczej wcale się nie układa. Milicja ogranicza swoją rolę co najwyżej do ściągnięcia mandatu karnego w wypadkach poważniejszego naruszenia przez pijaka porządku publicznego (ku rozpaczcy żony, która w ten sposób jest karana podwójnie) lecz nie przysyła poradni żadnych nazwisk nałogowych pijaków. Podobny brak zainteresowania pracą poradni cechuje inne organizacje społeczne. Lecz najważniejszą bolączką jest stanowisko zakładów pracy i ich rad zakładowych.

ZAKONSPIROWANI PACJENCI

Okazuje się, że w poradni leczą się niekiedy robotnicy w ścisłej tajemnicy i to nie dlatego, by się wstydzili leczyć (tak jak ma to miejsce z alkoholikami rekrutującymi się z inteligencji). Zapewne niewiarygodnie, że pacjenci ci ukrywają się nie przed swoimi kolegami, lecz — przed zakładami pracy. Lecz z chwilą przystąpienia do leczenia sprawa się skomplikowała, bowiem dawał tym dowód swego pijaństwa. W konsekwencji zdarzały się wypadki nawet zwolnienia z pracy. Czyż można się dziwić, że niejednym z pacjentów woli leczyć się na wszelki wypadek w sposób zakonspirowany. „Pić wolno, ale leczyć się nie wolno” oświadcza z gorączą jeden z nich.

Współpraca z zakładami pracy układa się więc źle. Instytucje i ich rady zakładowe wykazują całkowity brak zainteresowania i zrozumienia co do istotnej roli poradni. Faktem jest, że zarówno wokół tych co się leczą jak i tych co się wyleczyli i są czynnymi abstynentami, to znaczy próbującymi przetrwać na świecie, w czym im pomaga alkoholizm, wytworzono świadomego czy nieświadomego atmosferę dyskryminacji. Lekceważenie i niechęć idzie niestety „od góry” lecz łatwo przyjmują się „u dołu” wśród naszej braci robotniczej i urzędniczej. Opowiadano mi kilka faktów, że nie pozwolono w zakładach i biurach wywieszać napisów i plakatów wyzywających do walki z pijaństwem, że w gazetkach ściennych różnych instytucji „cenzura wewnętrzna” obcina wszystkie napisy i plakaty, co występuje przeciwko alkoholizmowi, że... wiele tych przykładów można by przytoczyć i wszystkie one świadczą o jednym: atmosfera jest zła, zgnita, utrudniająca lub uniemożliwiająca podjęcie jakiegokolwiek naszej akcji przeciwko pijaństwu. Toteż nawet taka forma współpracy jak pomoc rady zakładowej w kontroli regularnego uczęszczania alkoholika na leczenie w poradni przy pomocy wprowadzonych przez tę ostatnią książeczek kontrolnych, z reguły napotyka na nieprzychylny przeszkody, niechęć, lekceważenie i nie udaje się. Jeżeli nawet w sporadycznych przypadkach pewne objawy współpracy dadzą się zaobserwować, to ograniczają się one co najwyżej do jednorazowego skierowania alkoholika do poradni i na tym się współpraca kończy.

PORADNIA NIE TYLKO LEczy

Mimo krótkiego okresu istnienia poradni, możemy wskazać na pewne fakty świadczące, że w tej instytucji kryją się możliwości, wykraczające poza ścisły zakres lecznictwa, a nieobojętne dla społeczeństwa. Akcji przeciwalkoholowej w ogóle. Otóż poradnia nie tylko leczy, ale daje nam również możliwość stopniowego wychowania sobie wśród leczonych alkoholików pew-

nej grupy ludzi, którzy mogliby stać się po wyleczeniu działaczami i pionierami ruchu abstynenckiego w swoim najbliższym otoczeniu. Nie ma silnego ruchu bez ideowych i uświadomionych kadr ludzkich. Jeżeli chcemy, by rzeczywiste ruch przeciwalkoholowy stał się potężny i oddziaływał na szerokie rzesze, musimy mieć w każdym większym skupisku ludzkim choćby małą grupkę ludzi, którzy będą występować czynnie przeciwko każdemu objawowi nadużycia alkoholu i propagować słowem i czynem ideał trzeźwości.

Otóż wydaje się, że poradnia przeciwalkoholowa mogłaby dostarczyć nam tego rodzaju ludzi, przy najmniej w pewnym zakresie. Świadczy o tym nie tylko czynna postawa aktywno „samopomocy pacjentów”, lecz również takie fakty, jak np. organizowane swego czasu trójki kontrolne w składzie: 1 milicjant i 2 pacjentów poradni, które sprawdzały w sklepach i lokalach, czy nie ma pijanych, czy nie sprzedaje się im względnie młodzieży wódki, czy nie są przekraczane zakazy ograniczające sprzedaż napojów alkoholowych. Niestety, ta pozytywna akcja zanikła obecnie zupełnie, lecz nie trudno byłoby ją na nowo wskrzesić. W każdym razie wskazuje nam ona na możliwości wykorzystania w szerszym zakresie wyleczonych pacjentów poradni.

O tych możliwościach świadczy wreszcie wypowiedź tych ludzi nacechowane obecnie już troską nie o siebie, ale o innych, wypowiedzi będące jednocześnie postulatami pod adresem społeczeństwa.

POSTULATY SAMYCH PACJENTÓW

Najradykałniejszym środkiem likwidacji alkoholizmu, powiadają pacjenci poradni, byłaby ustawa o przymusowym leczeniu nałogowych alkoholików. Wolażą o to wszyscy jednym głosem. Coż bowiem z tego, że po przeprowadzeniu wywiadu środowiskowego o nałogowych pijakach zachęca się ich lub nawet straszy, pragnąc, by zgłosili się do leczenia w poradni. Zazwyczaj udaje się to tylko tak długo, póki alkoholik nie zorientuje się, że właściwie nie ma przymusu leczenia. Dobrze zapowiadająca się kuracja zostaje przerwana. W poradni pozostać tylko ci, którzy posiadają chociaż trochę odrobinę woli, by chcieć się poddać procesowi leczenia. I aczkolwiek rzecz ta nie zmniejsza w niczym wartości poradni, to jednak zmniejsza bardzo jej zasięg społecznej skuteczności.

„Społeczństwo sankcjonuje pijaństwo” — skarży się przewodniczący „samopomocy pacjentów”. Pijaństwo nie spotyka się z potępieniem, naganą czy odrzą, lecz ze śmiechem i pobłażliwością.

A więc, może stary, ale niemniej prawdziwy postulat: stałe, systematyczne, zawsze i wszędzie wychowywać społeczeństwo. Czy było ono kiedykolwiek naprawdę w tym kierunku wychowywane? Udermy się w piersi i powiedzmy sobie szczerze, że niestety nigdy. Bo trudno za taką akcją wychowawczą uznać pojawiające się co pewien czas najbardziej choćby alarmujące artykuły.

Dobrze rozumieją to robotnicy — pacjenci poradni. Dlatego swój postulat formułują nieco inaczej, konkretyzując go bliżej: „Trzeba najpierw przeprowadzić systematyczną akcję wychowawczą wśród członków rad zakładowych, milicji i

sprzedawców sklepowych i restauracyjnych”. Oczywiście jeśli chodzi o tych ostatnich tak długo nie będzie mowy o skutecznej akcji, póki nie wyrzucimy wódki poza plan, odejmując tym samym pokusę premi, która zachęca sprzedawców do jak największego zbywania alkoholików (nawiasowo dodajmy, że zakaz sprzedaży alkoholu w pewne dni nie dotyczy wódek gatunkowych, co zmniejsza znacznie dobrodziejstwo tego zakazu).

Konieczny jest ścisły współdziałanie zakładów pracy i rad zakładowych. To współdziałanie powinno iść w wielu kierunkach, począwszy od tworzenia własnych komórek przeciwalkoholowych na terenie swego zakładu (dodajmy tu znowu: własna poradnia przeciwalkoholowa założona przy zakładach im. Stalina w Poznaniu już po paru miesiącach istnienia została zlikwidowana) a skończywszy na jak najdalej idącej pomocy w skierowywaniu i nadzorze nad leczeniem alkoholików.

Niczym wreszcie nie daje się wytłumaczyć słabe zainteresowanie społeczną akcją walki z alkoholizmem tego rodzaju masowych organizacji, jak przede wszystkim Ligi Kobiet, najbardziej przecież zainteresowanej, bo reprezentującej interesy setek tysięcy maltretowanych, bitych i krzywdzonych przez mężów-pijaków kobiet i ich dzieci. Podobnie niczym nie daje się usprawiedliwić obojętność związków zawodowych wobec tej klęski.

Poza nawiasem akcji przeciwalkoholowej znajdują się również i komitety blokowe. Wciągnięcie ich do tej akcji wydaje się we wszelkich miarach pożądanym, gdyż im stosunkowo najłatwiej dotrzeć bezpośrednio do alkoholików i ich rodzin. Coż możemy dorzucić do tych wypowiedzi? Niewiele. Chyba tylko to, by tego rodzaju poradnie przeciwalkoholowe znajdowały się w każdym większym mieście. Ich rola byłaby większa lub mniejsza, zależnie m. in. od zespołu ludzi, którzy by nimi kierowali, lecz w każdym razie stanowiłyby one ośrodki, jednocześnie naukowe i społeczne, wokół których mogłyby się koncentrować wysiłki zmierzające do opanowania fali, która nas zalewa.

Tym niemniej nie możemy zapominać, że najlepiej nawet postawiona sieć poradni przeciwalkoholowych będzie zawsze środkiem ograniczonym a więc i mało skutecznym, jeśli nie będą mu towarzyszyły równoległe dwie rzeczy: ustawowy przymus leczenia nałogowych alkoholików oraz szeroka akcja społeczna, mobilizująca stale opinię publiczną.

Ustawowy przymus leczenia można by zastosować od razu bez większych przygotowań w stosunku do więźniów (szczególnie młodocianych) skazanych za przestępstwa popełnione pod wpływem alkoholu oraz w stosunku do skazanych na karę z zawieszeniem, zawieszając karę pod warunkiem podjęcia przymusowego leczenia w miejscowej poradni. Jak wam się to podoba, czytelnicy?

Tadeusz Wierzbicki

SPOTYKAM ich niemal co dzień. Na alicy, na dworcu kolejowym i w sklepie gminnej spółdzielni. W zakładach gastronomicznych, w pociągu i autobusie. W godzinach rannych, w południe i wieczorem. Podpitych, zataczających się, kompletnie pijanych. Zaczepiają przechodniów, robią awantury w lokalach i miejscach publicznych. Powodują nieszczęśliwe wypadki, absentują się w pracy. Kradną mienie społeczne, napadają na osoby prywatne. Urągają tym, którzy w serdecznej trosce o kulturalne i gospodarcze dzwignięcie kraju, o swój rodzinny byt, biorą odważnie na siebie trudny dzień powszedniego.

Cała batalia antyalkoholowa, biorąc globalnie, dotychczas nie dała większych rezultatów. Wracaj odwrótnie. Od kilku miesięcy w zaskakujący sposób daje się zauważyć zwrot już nie do kieliszka, a do pełnej butelki.

Przykłady? Lokale w Tarnowie, Krakowie, Brzesku, Nowym Sączu, Nowym Targu i innych miastach powiatowych oraz gromadach wiejskich województwa krakowskiego (piszę o woj. krakowskim, ponieważ znam je dokładnie).

Niechaj znajdzie się taki, kto potrafi wyczerpująco wyjaśnić, czemu w tak olbrzymiej ilości sklepów spożywczych, z taką przesadną starannością na półkach trzech ścian sklepowych poustawiane są butelki z wódką, począwszy od „czystej”, a skończywszy na specjalnych gatunkowych. Dlaczego w GS-ach znajduje się 30 różnych gatunków napojów alkoholowych, a rzadko coś treściwego do zjedzenia.

Tak więc ludzie początkowo o nikłych skłonnościach do pijaństwa, mając tyle możliwości do nabycia wódki, powoli przyzwyczajają się do stałego zaopatrywania się w alkohol.

Nie wolno utatwiać im tego zaopatrzenia! Muszą zniknąć ze sklepów spożywczych artykuły tego rodzaju. Musi skończyć się, nie wiadomo czym podkorywaną grzeszność personelu sklepów, obsługującego poza kolejką amatorów wódki. Niewielu chyba jest takich ludzi, którzy nie zdawaliby sobie sprawy, jakie następstwa niesie z sobą nadużywanie alkoholu.

Może mi ktoś zarzucić, że wysłałam otwarte drzwi. Pewnie. Lecz widocznie nie doś dotąd o tym przypominając, pisać, przekonywać.

Nieraz zadaję sobie pytanie: dlaczego żadna redakcja nie przeprowadziła w ostatnich przynajmniej latach ankiety na temat źródła pijaństwa wśród naszego społeczeństwa? Wyniki jej byłyby niewątpliwie ciekawe nie tylko dla publicystów, ale i dla prawników, a nawet dla ludzi mających wpływ na kształtowanie wewnętrznych stosunków w kraju.

Na temat pijaństwa, nad możliwościami zapobieżenia mu, rozmawiałem z ludźmi z różnych środowisk: z chłopami, robotnikami, księżmi, z nauczycielstwem, z prawnikami, z członkami partii i bezpartyjnymi. Ciekawe, że prawie każdy z moich rozmówców upatrywał jego źródło gdzie indziej. Jedno natomiast było u nich wspólne — stwierdzenie, że stanowczo za dużo jest w naszych sklepach alkoholu.

Nieprawdą jest, że jeśli cały naród będzie miał odpowiedni poziom kultury, zużyje alkohol samo przez się znajdzie do minimum. Któż bowiem tę kulturę ma krzewić, jeśli nie ludzie trzeźwi. I dlatego właśnie, chcąc myśleć o rozwoju w pełnym tego słowa znaczeniu kultury, trzeba położyć kres nęgowemu pijaństwu.

Mieczysław Stuchura

NO, nareszcie! Nareszcie znalazł się człowiek, który od niepamiętnych wprost czasów odważnie wygrał o „tej współczesnej poezji”. Ostatnio przecież są to sprawy nader kłopotliwe. Dość przypomnieć zdarzające się paradoksalne sytuacje: krytycy sprytnie omijają szczerupki tomicki z „mową wiązaną”, poeci zaś posiadający ich o wszystko — aż do sprowadzania w poezji kryzysu (czy niedyjszejszych jego oznak) włączanie. Nareszcie znalazł się Grochowiak i twardo wyłożył swe zdanie. Bez natrętnej kokieteryi, bez gratusowego wypisywania stopni celujących. Jego artykuł to niemal pierwsza jaskółka wiosny, i to w dodatku — taka wciśbiska, nie stroniąca od karkołomnych zakamarków. Bo jakkolwiek i ilekolek wyklócać się można merytorycznie z treścią artykułu — jedno jest pewne: rzecz jest śmiała i interesująca.

Odwagi, panowie krytycy, odwagi! — chcieliby się krzyknąć po przeczytaniu. Nie będzie wówczas nudny.

Skamandrytizm epigońsko grasuje w naszej poezji. Grochowiak napomknął o tym — ma świętą rację. Ale niewątpliwie przesadza z wyolbrzymieniem buntu Jastruna przeciwko Skamandrytom. Dlaczego? Bo zbyt jednostronnie patrzy na zagadnienie: skamandrytizm widzi jedynie w podobnym operowaniu — w dwudziestoleciu i obecnie — rekwiizytami codzienności. Główny spadek po międzywojennych antenatach przejawia się — według niego — w tym, że tak jak Skamandryci opiewali światek mieszczkański z kamieniczkami, patefonami i pelargoniami w oknach, tak nasi poeci w identyczny sposób opiewają środowiska inne — tylko patefon zastąpiła

JÓZEF SZCZYPKA

Odważnie o poezji

kielnia, a straszne mieszkania — gospodarny POM.

Tymczasem zamiennost rekwiizytów nie jest dziedzictwem ani głównym, ani jedynym. W każdej nowej epoce jest zresztą nieuchronna koniecznością. I nie tylko w literaturze, także w języku, malarstwie, na... choince świętej. Grochowiak narzeka na rekwiizyty, z drugiej strony znowu pochwała osiągnięcia Różewicza, bunt Galszczyńskiego. Hmm... Przecież właśnie u tych poetów występuje dużo rekwiizytów zamienionych lub wręcz „starych”. Co za wspaniałą gratką byłby dla Skamandryty motyw „Dytirambu na cześć teściowej”! Zaznaczam: motyw. Abstrahuję w tej chwili od wykonania, od postawienia i rozwiązania kwestii. Stwierdzam więc, że motyw jest prawie mieszczkański, rekwiizyty (skarpetki, pieluszki, kałesony!) — też. Śmieję się celowo. Przecież Różewicz często świadomie slega po „dawne” rekwiizyty. Przykładem: wiersz polemiczny „W związku z pewnym wydarzeniem”:

Oto dom czynszowy z czerwonych cegieł z trzeciego piętra wypadł człowiek leży na płytach trotuaru. Jego twarz przykryto gazetą. Mówią: kochanka wypchnęła go przez okno mówią: rzucić ją chcia... itp.

(z tomu „Równina”)

Nie boczmy się przeto na Rogu ducha winne „rekwiizyty”, boczmy się na coś gorszego. A więc na ugięte strofy, na określone na skłonności rytmiczne, określone na wyki w rymowaniu, określone na gury, które to elementy poezji

współczesna wzięła po Skamandrytach łapczywą ręką. Niedostryż nasamo — niestety — trzeba powiedzieć jej odziedziczonymi środkami formalnymi. Sprzeciw tym środkom zdecydował o sukcesach Galszczyńskiego, Różewicza i Szymborskiej. Zdecydował o popularności Woroszyłowej. Brak sprzeciwu sprawia, iż nazywamy ten i ów utwór niepoehlebie „przeżuwyjącym”.

Spokojny skamandrytizm uwodził szczególnie dziarsko poetów średniej generacji twórczej, którą Grochowiak w swym artykule pominał — zajmował się wszak problemami zasadniczymi. U tych poetów uleganie wpływowi objawia się wespół z gwałtownym eliminowaniem wszelkich relikwiotów cech innych prądów dwudziestolecia. Co jest zjawiskiem i sztucznością, i przynoszącym szkody. Literatura staje się jednostajna, zacierają się odrębności poszczególnych pisarzy. Dzisiaj większość poetów pragnie wystrzelić w jednokolewki standardowe mundunki z PDT-u; ba! — większość drży na sam widok bardziej ekstrawagancji koszulki w literaturze. Oby tylko nie było bałanów! Proszę mnie źle nie rozumieć, wcale nie chcę odgrzewania zmuszających ich, ani tworzenia nowych — nowych jedynie dziwacznych eksperymentarstw. Ale gdy poeta na amen odzupuje się od dawnej mawiczyznej szkoły, wtedy blaskawiczy zetraca w ogóle indywidualne swoje cechy, które uprzednio zdobył, a które są w prawdziwej sztuce konieczne. Grochowiak podał przykład. Przybiosa: poeta przezwyciężając awangardowość

popadł w deklarytywizm, w czeste relacjonowanie przeżyć prozą. To samo — niestety — trzeba powiedzieć o Kurku (ongis współpracownik „Zwrotnicy” i redaktorze „Lini”!). Kurek w antologii poczeszował czytelników łatwymi strofkami „Marzenia”, w których każda linijka jest niepotrzebnym „postyzowaniem” spiętym z sąsiedami klamrami najgrzeszniejszych rytmów. Oto ostatnia zwrotka:

Ziemia wielorodna i żywa ma być posłuszną człowiekowi. Niech ludzka myśl ją opływa. Chwała marzeniu i rozumowi.

(„Marzenie realisty”)

Podobnie np. z autentystami. Czernik, Frask, Ozóg... Ich autentyzm licho wzięło. Błądzą swobodnie po utartych ścieżkach tradycji, gdzie szalenie łatwo o takie banalowe nieporozumienia jak „Wieczór w spółdzielni produkcyjnej” Ozoga — wiersz stwierdzający rzeczy znane za pomocą wszystkich skrzętnie zmontowanych akcesoriów. Nie mogę tego nazwać etapowym poszukiwaniem artysty! Powtarza się — chyba mimo woli? — nawet w pewnym stopniu pseudo — klasycystyczne ujęcia. Choćby w „Naszej wiosnie” Fraska nasuwającej mi zabawne reminiscencje ze starego Koźmiana. Próbnik:

...Czas to wiosny, tego miśsięca, gdy pierwszy raz ze stajen było widać na ruń zieloną ławy, a wiosna garść podbiałków sypie...
...Czas to i dla nas, przyjacielu, skowronce gniazda skryte w ztych znaleźć i ruń zieloną witać...

Oczywiście, Koźmiana w kieszonkowym wydaniu! Należałoby zresztą skończyć już z owym ustawicznym polowaniem na krajobraz „sielskich stron ojczystych”, polowaniem przeżwanym pechowym, bo nie przynoszącym udatniejszych okazów. Same pudła. „Krajobraz” winien być sprawą dekoracji mocno zharmonizowanej z myślą naczelną, winien być czymś co jednak w utworze pełni funkcję drugorzędą. W przeciwnym wypadku będzie jak obrazek na ścianie: albo jest barwnym cackiem, albo jest (najczęściej!) — landszaftem na brozowym pniu. Stąd raz „płomyczkowe” opisywactwo, gdzie nie potrzeba zastanawiać się nawet nad jednym przecinkiem:

Gdy pokoi: w trawach szeleści koza, parskają zwinne rące koniki, dymy się wija wioska i osad. Fabryki gwizda, dudnia chodniki. Dziewczęta kwiaty mają we włosach.

(J. Huszcza ***)

Stąd razą bliskie sielskiemu pejzazowaniu pseudoludowe symulacje:

wysza dziewczyna na piękne łąki, wiodła dwie krowy i dwa baranki. I zartobliwa dziewczyna, i lekka. Po złotych kwiatkach idąc wianek plecia.

— z kapitalnym środkowym dwuwierszem: Ze szkół zapewne, z uniwersytetu Na wieś wrócić i od wieczora jest tu. (I)

(A. Kamińska: „Pastereczka”)

Jeszcze dwie sprawy. Pierwsza — do redaktorów antologii. Tytuł „Poezja Polskiej Ludowej” należałoby gwoli ścisłości zmienić na „Wiersze, które powinniśmy lubić” opatrując przestroją „lubić z wyjątkiem wielu”. Antologia bowiem nie uwzględnia czasów, gdy zmagaly się różne poetyki, czasów „burzy i naporu” — bogatych w wiersze dobre, piękne i także — w dziwolągi, półfabrykaty. Na skutek zaś zastosowanej polityki kompilacyjnej otrzymaliśmy obrazy niepeł-

ne, nie przedstawiające dostatecznie dziesięciolecia. Ot, Galszczyńskiego omal nie udrapowano na dostojnym wieszcu. To Puszkina mówił: „Wydaje mi się, Boże przebac, że poeta muszę być odrobiną głupi” — cytuję te słowa nie w celu zdeprecjonowania kogós, lecz w celu przypomnienia, iż nasz autor „Zielonej Gezi” był również czcicielem i mistrzem poezji nonsensu — zakończonym w humorystycznej magii słów, w groteskowym sztafażu dziwności. A o tym w grubej antologii cicho. Nie trafnie dokonano wyboru wierszy autorów katolickich. Nie określają one ideologicznego profilu poetów, którzy się właściwie niczym specjalnie nie wyróżniają. Te same powstają tematy. Jeden ledwo Rostrowski odznacza się ilością nagromadzonych metafor w ładnym wierszu „Maly”. Dlaczego zamiast fragmentów „Czarnego śpiewu” i „Wiece” Żurawca — nie zamieszczono „Listu do kardynała Spellmana”, w którym ostrzej wydatnił się charakter wyznaczony przez poetę światopogląd? Dla Bieszczadzkiego bardziej reprezentatywny byłby „Głos” — przepojony piękną stylizowaną retoryką, niż zamieszczony „Leopold Staff”. Nie żądam absolutnie „wszędobylskiego” katolickiego ghettia, ale — prostego zadośćuczynienia faktom oczywistym.

Druga sprawa — do Grochowiaka. Nie przesadzajmy, panie Stanisławie, z tą walką socjalistycznych Don Kichotów z wiatrakami futurizmu, dadaizmu... Parę lat temu toczono boje z poważniejszymi chorobami. Wcale nie z dziedziny rozhisteryzowanego bełkotu, który dawno, dawno fabrykowano w eleganckich kapeluszkach ze skrawkami gazetowymi. Stawiamy umiejętnie diagnozy, inaczej — trupów będzie zbyt wiele...

Józef Szczypka

NOTATKI I REFLEKSJE Z KALISZA



Kalisz, jak Kraków czy Lublin jest miastem, w którym oddycha się długą i świetną historią. Można by ją przypominac od Ptolemeusza Młodszego, który umieścił na swej mapie Calisia. I w historii teatru ma prawo szczyścić się to miasto nie byle jaką kartą. Jeszcze przed powstaniem sceny świeckiej, rozwijał się tutaj znakomicie wraz z oficyną księgarską, teatr kolegium jezuitckiego za czasów kardynała Karnkowskiego. Pod koniec XVIII wieku Kalisz przeżywa swój powrotny renesans, bo w ślad za inspiracją Komisji Dobrego Porządku, rozbudowuje się przemysł, ożywia handel, a jednocześnie widać aktorskie wjeżdżają w rogatki Przedmieścia Warszawskiego czy Wrocławskiego. Nim przyjdzie tu niestrudzony Bogusławski, który wzniesie nad Łagodną Proszą na tysiąc osób uszykowane teatrum — zawadzi o miasto trupa Truskolaskich.

Kogo tam później nie przyjmowali z otwartymi sercami i sakiewkami gościnni Kaliszanie, na zabój rozmiłowani w Melpomenie! M. in. serdecznie, jak pisze Dmowski, witano młodzieńską Rozalię Bogusławską, późniejszą żonę Osiańskiego, która na tej scenie debiutowała. Bywali tu często dyrektorowie trup prowincjonalnych, jak Kacper Kamiński czy Karol Baur i „krakowscy” — Pfeiffer czy Chęchowski. Stary Frenkiel tu pierwsze nauki na aktorsku odbierał, podobnie Sosnowski - Solski, a Józef Kotarbiński, kiedy tu zjechał, wiele serca musiał tamczynym synom Muzy okazać, skoro jeden z nich najczulsze ale i najsmutniejsze listy o roli aktorskiej na szpaltach „Kaliszanina” mu dedykował. Bywał i wielki Jaracz, Osterwa, Adwentowicz, także Boy-Zeleński z odczytem o Molierze, wyjątkowo, jak wspomina, mile witany przez jednego z kanoników...

Aby w pełni zdać sobie sprawę z roli, jaką pełni obecnie nadproziński teatr, trzeba choć pokrótce zorientować geograficznie położenie Kalisza na mapie kulturalnej — leży on w środku wielkiego trójkąta, którego wierzchołkami są Łódź, Poznań i Wrocław. Do każdego z tych miast jest ponad 100 km. Scenie kaliskiej przypada z tego stanu rzeczy ambite zadanie obsłużenia wielkiego terytoryum, którego granice wychodzą daleko poza granice powiatu kaliskiego, a

pokrywają się z obszarem dawnej ziemi kaliskiej. Umysławia nam to bardzo dokładnie mapa plastyczna znajdująca się w eleganckim foyer teatru. Masa złotych punkcików świetlnych, pod każdym nazwą miejscowości, do której systematycznie dociera zespół. Ogarnia człowieka głębokie wzruszenie, kiedy studiując mapę kultury teatralnej, która już na zawsze stała się potrzebą tysięcy ludzi, których wprost widzi się poza nazwami maleńkich miasteczek, osad i wsi.

Teatr kaliski planuje w dalszym ciągu rozszerzenie swej ofensywy kulturalnej. M. in. stara się o założenie stałej placówki w Ostrowie Wielkopolskim, odległym o 20 km. Jest to duży ośrodek przemysłowo-kolejarski, jeśli chodzi o życie kulturalne niesłychanie eksploatawany przez rozmaite tandeciarskie zespoły szmiry i bzdury. Nie zaniedbuje teatr i wsi. Przywozi chłopów na przedstawienia do Kalisza albo, gdy w wsi znajduje się odpowiednia sala, sam składa im miłą wizytę. Z wielu rozmów dowiedziałem się o wielkiej sympatii, jaką tysiące widzów miasteczek i wsi, a także samego Kalisza darzą swój zespół, swój teatr. Nie łatwo zbiera się oklaski i tak zasłużone słowa uznania. Aby w całej rozciągłości docenić ten wielki, niewymierny zda się wysiłek teatru, trzeba w pobieżnym rzucie wspomnieć o zasadniczych codziennych troskach i zmartwieniach, które zespół musi pokonywać. Otóż m. in. dokuczają kaliskim aktorom trudności mieszkaniowe. Dyrekcja daremnie kołatace do wszystkich wpływowych drzwi — gdyby dano — mówią w Kaliszu — chociaż jeden, chociaż dwa pokoiki, byłby to sygnał jakiejś dobrej woli czy chęci. Z tym większym smutkiem i konsternacją kaliscy aktorzy rozglądają się wokół, słysząc, że w innych ośrodkach coś się robi na tym odcinku. Ze np. Opole dzięki SFOS i Wojewódzkiemu Komitetowi Partii otrzymało Dom Aktora, że Rzeszów zdobył 22 mieszkania. Tylko Kalisz... Sytuacja nie jest wcale zabawna i co rychlej należałoby odpowiednio zadziałać.

To zaledwie jedna z bolesnych spraw, które nurtują i drażnią ten teatr, a które wreszcie znalazły swój szczerzy i słuszny oddźwięk w dyskusji na Zjeździe Młodych Aktorów, odbywającym się w Warszawie, w początkach marca br. Teatr Kaliski miał tam swoich gorących rzeczników, zresztą jego troski są bardzo znamienne i typowe dla większości scen terenowych.

Oto skarżono się przede wszystkim, to z godnie, że nie uwzględniając lokalnych warunków tworzy się zbyt napięte, ogromne plany usługowe, wskutek czego automatycznie teatr zostaje spychany do roli zakładu kłobocznego, do roli producenta kłobocznego spektakli. Wspomniano, że częste zmiany kierownictwa artystycznego uderamienia prowadzenie systematycznej pracy aktora nad sobą, a co więcej, prowadzą do wyjątkowania twórczości. Wskutek braku wytrwałych reżyserów, braku czujnej kontroli ze strony dobrze przygotowanych, doświadczonych pedagogów teatralnych, zdarzają się wypadki, że po trzech czy czterech latach praktyki w takim zespole młodzi grają gorzej niż po wyjściu ze szkoły. Wobec braku takiego doświadczonego kierownictwa coraz bardziej aktualny staje się w Kaliszu problem dokształcania młodych już wyróżniających się aktorów. Zagadnienie to jest tym trudniejsze do zrealizowania, iż teatr kaliski, jak w ogóle teatry terenowe, jest placówką objazdową. Dotkliwy brak czasu w znacznym stopniu uderamienia gruntowniejsze pogłębienie wiedzy i rzemiosła. Nie ma również czasu na wyjazdy do teatrów w większych miastach.

Teatrem kaliskim nie interesuje się wcale żadna prasa, nawet ponańska. Co gorsze, nic na tym odcinku nie wróży poprawy. Zapomnienie jest szczególnie bolesne dla aktora, który dając z siebie maksimum energii i ofiarności, który gra przy 3 st. mrozu i ciepłocie się po nocy z odległej miejsciny, czy wioski na próżno oczekując na jakieś skwitowanie jego trudu słowem pochwały czy rozsądnej krytyki. Widziałem kaliskiego aktora kupującego „Teatr”. Było to w kilka tygodni po premierze „Mazepa”. Z umiarkowanym wzruszeniem oglądał serwis zdjęć z tej sztuki i był bardzo zawiedziony (a może mi się zdawało?), że nie mógł przeczytać choć krótkiej wzmianki. A przecież — nie posługują się wyłącznie moją opinią — kaliska „Mazepa” była wydarzeniem w skali krajowej.

A przecież poza „Mazepą” można było obejrzeć w Kaliszu szereg interesujących przedstawień, w których dostrzegano się, znaczne osiągnięcia zespołu aktorskiego. Do takich zaliczyłbym „Fircyka w zalotach”, z bardzo ciekawym ujęciem roli tytułowej przez M. Plucińskiego, „Candide” Shawa, czy „Późna miłość”. Młodzi aktorzy, których w tym teatrze jest sporo, wyjątkowo dobrze reprezentowali swoje umiejętności w radzieckiej sztuce „Sprawa osobista”. Warto by tutaj przypomnieć nazwiska: Tadeusika, Wojtowicza, Chmca, Baldego i in. Niesposób wymienić wszystkich, którzy, jak np. Kazimierzowska, z każdą rolą wykazują coraz sprawniejsze opanowanie trudnego rzemiosła. Dowodem ich rzetelnego wkładu w dzieło uteatralnienia Kalisza i okolicy niech będzie liczba niemal astronomiczna, jak na tutejsze stosunki, 92 spektakle „Mazepa” J. Słowackiego.

Heleńko! Heleńko! To dobrych przedstawień teatralnych w Warszawie

wie czy Krakowie przypomina mi się pewna recenzja Boya ze świetnego Moliera, bodaj że w jakimś Złoczowie czy Pińczku. Przy tej okazji radził „flirciarz z Melpomena” stołecznym asom od francuskiej klasyki obejrzeć tego spektaklu gwoli nauki. Myślę, że teraz mamy równie znakomite premiery na prawo i lewo od Warszawy. Ba, ale kto je zechce zobaczyć, a kto o nich napisze recenzję?

I jeszcze jedna dygresja. Kiedy poznajemy szczegóły peregrinacji aktorskich Wielkiego Bogusławskiego i jemu podobnych, gdy towarzyszymy mu myślą w tych wędrowniach i w przybliżeniu wyobrażamy sobie niesłychany trud wjazdów na wózku, a potem montowania widowisk po budach, obozach i hotelach — nasuwa się taka uwaga: czemu to dzisiaj, właśnie dzisiaj, kiedy misja kulturalna teatru stała się w pełni ideową pracą, tak rzadko, na palcach li czyć, ktoś z wybitniejszych ludzi sceny wjeżdża w tzw. teren (bo chyba już nie na prowincję). Myślę, iż nie tak znowu trudno byłoby pofatygować się (pociągami późniejszym II klasy!) do Rzeszowa, Kalisza czy Kielc i zrobić ze dwie premiery. To chyba daleko łatwiejsze, niż kaliskiemu włókniarzowi wybrać się do stolicy, by zobaczyć np. Kurkaczowicza czy Kreczmara.

tacji musi troszczyć się o to, żeby zawsze działał subtelnymi środkami, żeby uczyć i wychowywać za pośrednictwem wysoce artystycznej i przekonywającej sztuki.

Wieczorem byłem na przedstawieniu „Domu na Twardej” K. Korcelliego (na afiszu jest poza tą sztuką „Wesela Figara” Beaumarchais). Jeszcze widziało się tu i ówdzie niedoszlifowanie, niedopracowanie sceny czy sztywność aktora, ale całość już „gra” wstrząsającą treścią tragedii tamtych lat i nowego, boleśnie i zwycięsko wykluwającego się z tamtych dni. Bardzo byłem zdziwiony reakcją części widzów, która, jak najlżejszej przypuszcza autor — winna współuczestniczyć swoimi przeżyciami i emocjonalnym doświadczeniem ze zdarzeniami scenicznymi. Kiedy do mieszkania przy ulicy Twardej dobiega się niszycielska pałba karabinowa — z sali podrywa się beztroski śmiech... Długo zastanawiałem się nad tym zjawiskiem. Czy winien tu takiej percepcji utworu teatr, który nie dość naturalnie czy „wiarygodnie” przekazuje pewne sytuacje, lub też może nie budzi właściwego odzewu przywołanie przed oczy faktury wojennej tragedii, czy wreszcie nasz nowi widz nie umie obcować z wizją rzeczywistości, przedstawianej w kształcie dzieła sztuki?

NIE TYLKO BERNANOS...



Aby usprawiedliwić zaliczenie wydanego ostatnio przez Pax zbiorku opowiadań Kazimierza Gołby: „Obrazki śląskie” do pozycji potrzebnych i niewątpliwie wartościowych, aby pomimo blaków tej książki można ją było zapisać w roczniku Wydawnictwa „plus” — należy zaznaczyć czytelnika pokrótce z jej autorem.

Kazimierz Gołba jest jednym z najpopularniejszych pisarzy Śląska. Pochodzący z Małopolski, przeniósł się w latach młodzieńczych (w początku awduziesiolecia) na Śląsk i Śląskowi poświęcił całą resztę swego życia. Biorąc gorący udział w życiu kulturalnym i społecznym Śląska, pisząc i wydając w latach międzywojennych wiele poświęconych Śląskowi utworów, zdołał sobie zaskarbić względy i żywą sympatię najszerszych mas ludności tej dzielnicy Polski.

Uniknąwszy cudem śmierci w gestapowskiej kaźni, nie należąc oficjalnie do żywych, prowadzi pisarz przez cały czas okupacji nielegalną działalność wychowawczo-kulturalną oraz kontynuuje swą pracę literacką. Zdziwiani i wzbudzeni głębokim szacunek silną wolą, z jaką ten przytułek do fotela człowiek nie tracił nic ze swej energii psychicznej, lecz nadal pisze, pracuje społecznie, staje się mądrym nauczycielem, doradcą i przyjacielem starych i młodych. Takich ludzi się nie zapomina...

W utworach swych walczy Gołba z bezduchym, zacołanym systemem wychowawczym w ówczesnej Polsce (z zawodu był nauczycielem), piętnuje obserwowaną przez siebie na każdym kręku niesprawiedliwość społeczną, budzi wśród ludu śląskiego najszlachetniejsze uczucia patriotyczne, wykazuje (opierając się o badania naukowe) odwieczną łączność Śląska z Polską. Należy także podkreślić akcenty religijne występujące często w jego utworach: Bóg, Jego prawa i wynikające z nich konsekwencje moralne są dla Gołby konkretem i wagą na postępowaniu bohaterów opowiadań i obecnie dostrzeganych zjawisk i problemów społecznych.

Wydanie przez Pax zbiorku opowiadań Gołby jest nie tyle wydarzeniem literackim, ile społeczno-kulturalnym. W opowiadaniach tego pisarza widzimy — aż do gniaz wyrzeczona sięgające — podpowiadanie sztuki pisarskiej idei, moralności. We wszystkich niemal utworach zwraca uwagę ich dydaktyzm. Język Gołby jest bezpretensjonalny, lecz przejrzysty. Pisarz po prostu opowiada, nie sięgając do stylizacyjnych ornamentów. Jego utwory zyskują przez to na zwartości i bezpośredniości. Natomiast razi nieraz naiwność, banał niektórych utworów, fragmentów, podawanie „na surowo” czytelnikowi pewnych problemów. Czułość, lakoniczność (często „faktografia”) prozy Gołby przypomina czasem publicystykę, reportaż. Wrażenie to narzuca się szczególnie przy lekturze opowiadań powojennych, jak: „O swoich i nie swoich”, „Nawroty”, „Wilkolak”, „Młodzi odkrywcy”. (W opowiadaniach tych porusza pisarz problemy znajdowane wokół siebie w życiu: autochtoni i repatrianci, „szaber”, alkoholizm, sprawy obyczajowe, sabotaż...)

O wiele lepsze literacko są opowiadania historyczne (np. Jackowa legenda”, „Sąd w Nysie”). Na polu legendarnie historie z dziejów starożytności, Śląska walczącego przez cały czas swej historii z naporem germanizacyjnym, budzą żywy, zrozumiały oddźwięk w czytelniku, szczególnie śląskim.

Podejrzewam osobiste Gołbę, że „nieporadność” i naiwność jego prozy były świadomie obliczone na natychmiastową reakcję czytelnika, wywołanie w nim zamierzonych, pożądanych odruchów, wzruszeń, refleksów. Pisząc dla ludu musiał Gołba pisać przystępnie i zrozumiale.

Proza Gołby, choć nie zachwyca kunsztem pisarskim, jest dla nas czymś bliskim, „swojskim”, przemawia do serca, wzrusza. A to jest walor ogromny, dany niewiele pisarzom. Ta ludzka prostota, ciepło, jakie znajdujemy u Gołby, rekompensuje w dużym stopniu „niedoskonałości” jego prozy.

Sumujemy: Tomik opowiadań Kazimierza Gołby będzie popularną lekturą nawet i dla czytelników spoza Śląska, zaznajamiając ich z bogatą historią, mieszkańcami i życiem tej tak nieznannej bliżej w centralnej Polsce dzielnicy naszego kraju.

Należy pochwalić wydawnictwo za jego wielostronność, za to, że stara się zaspokoić również regionalne potrzeby kulturalne, za docenianie obiektywnego faktu, że czytelnik katolicki to nie tylko czytelnik elitarnego Bernanos, Greena czy Sygrydy Undset, ale i Crochina, Dobraczyńskiego, Z. Bednorza czy Wroblewskiego.

P. S. Parę słów należy się ilustrować. Nierówny poziom w porównaniu ze zróżnicowaną techniką zadawia oglądającego Obok stonkowno przyjemnych rysunków do „Szeptu Skarbnicy” i „Lubuszy do Woźnika” znajdujemy istne perełki złego smaku i banału. „Cenzura” artystyczna wydawnictwa — zawiodła.

Zbigniew Dolecki

* Kazimierz Gołba: Obrazki śląskie. Wydawnictwo Pax, Warszawa 1954, str. 182.

Recenzja czy parę słów „odczepnego”



Przez długi czas z cierpliwością czytałem i... znosiłem drukowane w „Dziś i Jutro” recenzje filmowe p. A. Odolańskiego. Przeczytawszy jednak zamieszczoną w numerze 11 (z 20 ub. m.) „recenzję” z „Ciemnej rzeki” („Czy pierwsza jaśkółka zapowie wiosnę?”) nie wytrzymałem i chwyciłem za pióro. Przez 142 wiersze (2/3 recenzji, a raczej artykułiku) informuje nas Autor o rozwoju kinematografii argentyńskiej od czasu jej powstania, oraz o jej stanie obecnym. Podkreśla fakt podporządkowania tej kinematografii komercyjnej polityce producentów. Zaznacza nam z jej fascystowskimi powiązaniem, zwraca uwagę na ograniczenie jej działalności przez reżim Perona. Bardzo pięknie, wszystko to jest nadzwyczaj interesujące, ale gdzież tu licha recenzja o samym filmie? Czyżby było nią te 70 wierszy niechętnych słów, kwitujących niedbałe film?

Zadziwia mnie u Krytyka jakaś szczególna indyferencja intelektualna, w wyniku której Krytyk podciąga lub zniża wszystkie niemal onianiane przez siebie filmy do poziomu, szarej, bezbarwnej przeciętności. Nie widąc, żeby się kiedykolwiek Krytyk wzruszył, przejął jakimś filmem. To drażni. To czasem nawet obraża.

Cenimy erudycję Krytyka, jego umiejętność zgrabnego zaszerogowywania filmów do odpowiedniej sztywności, opatowywania ich „odpowiednią” (wg Krytyka) — etykietką. Dziwimy się jednak, że najlepsze nawet, najpiękniejsze filmy jakoś maleją, tracą swoją wielkość, „odbarwiają się”, są tylko „takie sobie” w naswietleniu, w relacji p. A. Odolańskiego. Pan Odolański ma prawo mieć swoje zdanie i nikt temu prawa nie może i nie zamierza odebrać, ale po tym co pisze, wywnioskować łatwo — że: Krytyk nie uznaje opinii wiekszych od siebie autorytetów (to dobrze zresztą w pewnych wypadkach). Krytyk nie wie nic o opiniach „szarego widza”, nie interesuje go, co sadowi o danym filmie ten widz, który mówi po prostu i szczerze: „film jest dobry, film jest zły”, wzmaga lub nudzi. Oczywiście widz może ubarwiać, mylić się. Pan Odolański może powiedzieć: „widz ma zły, wypaczony gust”. Nie posiadałby chyba jednak o zły gust jurorów festiwalu w Cannes? A może?...

Słowa, recenzje p. Odolańskiego

List do Redakcji

Recenzja czy parę słów „odczepnego”

padają często w próżnię, nie mają oddźwięku, przechodzą obok. Dlaczego? Dlatego, że p. Odolański zawadza swą monotonna piosenką (o „przeciętnym” filmie) wypowiedziada często (zbyt często) jedynie własne sady, sądy omylne. Nie potrafią one nikogo przekonać, że taki np. wybitny film jak „Ciemna rzeka” jest filmem przeciętnym i w gruncie rzeczy mało wartościowym.

Tyle ogólników. Wytoczymy teraz swoje zastrzeżenia przeciw temu (a jest tego diablo niewiele, wypada więc walczyć raczej przeciw temu, czego p. Odolański nie napisał) co wyczytaliśmy w 70 wierszach „recenzji”.

1) Krytyk mówi o słabym „aspekcie społecznym”. Moim zdaniem (i nie tylko moim) aspekt społeczny narzuca się nam z ogromną siłą. Film istotnie nie kładzie kropki nad i — ale w tym właśnie jego zaletę! Dyskretna w ukazywaniu tych „aspektów” obowiązuje każde prawdziwe dzieło sztuki. Czyż film ten nie jest wielkim oskarżeniem? Budzi szlachetną nienawiść do zła. Może jest zbyt brutalny, przesadzony w swej ekspresyjności, ale widzą patrzeć z satysfakcją na dokonujące się dzieło zemsty nad zbrodniarzami nie widzi w nich już ludzi (którymi być przestali) lecz tylko upersonifikowane zło, zło które należy karać i niszczyć.

Dwoje młodych bohaterów płynących w zakończeniu filmu, szeroka, „ciemna rzeka” ku lepszej przyszłości, czyż nie jest dostatecznie przejrzystym symbolem?

2) Krytyk pisze: „Film nie posiada prostoty i jedności języka Vareli, żywej kompozycji obrazów, nie oddaje atmosfery ojczystej przyrody”.

Co do „jedności i prostoty” można się spierać. Ja osobiste sądzę, że film posiada bardzo dużo tej jedności i prostoty. Za czysty nonsens natomiast uważam zarzucanie filmowi braku „atmosfery ojczystej przyrody”. Wnętrze południowo-amerykańskiej dżungli odnane zostało przekonująco i sugestywnie. Razem z pracującymi przy „herwa” robotnikami słuchamy egzotycznego chóru mieszkańców tej dżungli. Niesamowite dla naszych uszu głosy ptaków i zwierząt są czestym akompaniamentem akcji. Tak pięknych plenerów jak w „Ciemnej rzecze” nie widziałem dawno, chyba od czasu „Palomy”. Sumując najbardziej krótko: film „Ciemna rzeka” jest obratem o wysokiej randze artystycznej i społecznej.

Kazimierz Lubelski

List do Redakcji

Recenzja czy parę słów „odczepnego”

padają często w próżnię, nie mają oddźwięku, przechodzą obok. Dlaczego? Dlatego, że p. Odolański zawadza swą monotonna piosenką (o „przeciętnym” filmie) wypowiedziada często (zbyt często) jedynie własne sady, sądy omylne. Nie potrafią one nikogo przekonać, że taki np. wybitny film jak „Ciemna rzeka” jest filmem przeciętnym i w gruncie rzeczy mało wartościowym.

Tyle ogólników. Wytoczymy teraz swoje zastrzeżenia przeciw temu (a jest tego diablo niewiele, wypada więc walczyć raczej przeciw temu, czego p. Odolański nie napisał) co wyczytaliśmy w 70 wierszach „recenzji”.

1) Krytyk mówi o słabym „aspekcie społecznym”. Moim zdaniem (i nie tylko moim) aspekt społeczny narzuca się nam z ogromną siłą. Film istotnie nie kładzie kropki nad i — ale w tym właśnie jego zaletę! Dyskretna w ukazywaniu tych „aspektów” obowiązuje każde prawdziwe dzieło sztuki. Czyż film ten nie jest wielkim oskarżeniem? Budzi szlachetną nienawiść do zła. Może jest zbyt brutalny, przesadzony w swej ekspresyjności, ale widzą patrzeć z satysfakcją na dokonujące się dzieło zemsty nad zbrodniarzami nie widzi w nich już ludzi (którymi być przestali) lecz tylko upersonifikowane zło, zło które należy karać i niszczyć.

Dwoje młodych bohaterów płynących w zakończeniu filmu, szeroka, „ciemna rzeka” ku lepszej przyszłości, czyż nie jest dostatecznie przejrzystym symbolem?

2) Krytyk pisze: „Film nie posiada prostoty i jedności języka Vareli, żywej kompozycji obrazów, nie oddaje atmosfery ojczystej przyrody”.

Co do „jedności i prostoty” można się spierać. Ja osobiste sądzę, że film posiada bardzo dużo tej jedności i prostoty. Za czysty nonsens natomiast uważam zarzucanie filmowi braku „atmosfery ojczystej przyrody”. Wnętrze południowo-amerykańskiej dżungli odnane zostało przekonująco i sugestywnie. Razem z pracującymi przy „herwa” robotnikami słuchamy egzotycznego chóru mieszkańców tej dżungli. Niesamowite dla naszych uszu głosy ptaków i zwierząt są czestym akompaniamentem akcji. Tak pięknych plenerów jak w „Ciemnej rzecze” nie widziałem dawno, chyba od czasu „Palomy”. Sumując najbardziej krótko: film „Ciemna rzeka” jest obratem o wysokiej randze artystycznej i społecznej.



Scena ze sztuki „Dom na Twardej” w Teatrze Kaliskim

Nie obliczył owoców takiej wizyty. Ileż nauki dla aktora, ileż wzruszeń niezapomnianych dla widza, który tak garnie się do teatru. Scena — wiemy o tym za dobrze — jako trybuna długofalowej agi-

Są to bardzo skomplikowane sprawy, domagające się może studiów psychologa, a tkwiące w pałącym problemie wychowywania teatralnego odbiorcy.

Stanisław Christian

Trzy tygodnie w Związku Radzieckim

Halina Czerny-Stefańska o swym tournée artystycznym

Nie przebraliśmy jeszcze ostatni akord fortepiana, gdy prof. Ludwik Stefański podchodzi do mnie, blyszczał skrzynek. Jest to magneton, magiczne pudło o „cudownych” właściwościach. Wydaje starczy kilka umietynych nut — i oto z łasny powraca do nas przed chwilą utrwalony mazurek Chopina.

Słuchamy w skupieniu. Twarz Haliny Czerny-Stefańskiej zdziera coś więcej, niż tylko zainteresowanie. W sprawdzaniu swej własnej gry jest i pewna doza niepokoju: czy dobrze wypadło? — Nieoceniona wprost usługę oddaje mi megafon, przywieziony ostatnio ze Związku Radzieckiego. Dzięki niemu mogę korygować własne błędy, słuchać siebie same!

Rozmowa schodzi na temat sprzętu technicznego, który nasi muzycy oglądali podczas swej ostatniej wizyty w Kraju Rad. Oczywiście Ludwik Stefański, jako przedstawiciel rodu mełkiego, ma tutaj niemało do powiedzenia.

W sklepach radzieckich imponuje nie tylko ilość przeróżnych urządzeń technicznych, ale i ich niska stonkowno cena. Mówię: stosunkowo, mając na myśli przeciętne uposażenie w Związku Radzieckim, kształtujące się około 1.000 rubli miesięcznie. Po nad te przeciętne wykraczają zarobki artystów: np. dyryktor filharmonii otrzymuje pensję około 5000 rubli. Na tym tle istotnie niskie wydają się ceny różnych artykułów przemysłowych, którymi magazyńnicy i sklepy są dosłownie zalane. A więc motocykl kosztuje 2.200 rubli, aparat radiowy — 600 rubli (te same aparaty radzieckie widziałem w Warszawie w komisjach za 6.000 zł); magneton — taki jak nasz — kosztuje np. 1800 rubli! Natomiast ceny materiałów... — O, przepaszam bardzo: tekstylia, to już mój „resort” — wstraca ze śmiechem pani Halina. Odtąd rzeczywiście materiały wydawały mi się stosunkowo drogie, bo np. metry doskonałej wełny kosztuje 500 rubli. Ale co za wybór

kretonów, jedwabi itp.! Jest w czym wybierać! — Czy mieliście państwo nieco wolnego czasu na zwiedzenie muzeów, ogłędnięcie spektakli teatralnych? — Zwiedzaliśmy w Moskwie Galerię Tretjakowska, oraz wspaniały leningradzki Ermitaż, mogąc się pochwalić m. in. 25 piórami Rembrandta! Nawet w dni powszednie, muzea te są dosłownie zatłoczone zwiedzającymi; mnóstwo wybitnych szkółnych, oprowadzanych przez fachowych przewodników, którzy tłumaczą dokładnie idee i techniki malarstwa każdego niemal obrazu. U nas rzeczy te zatławiane są mniej skrupulatnie...

Oglądaliśmy również w Moskwie operę „Borys Godunow”, a w Leningradzie wspaniałą wystawioną balet Czaturiana. Niestety jednak niewiele wieczorów mogliśmy spędzić w roli biernego, jako widzowie lub słuchacze. — Właśnie, sprawa najważniejsza: jakie i gdzie dawala pani koncerty podczas swego ostatniego tournée? — Podczas tego trzytygodniowego pobytu w Związku Radzieckim dala 12 koncertów w 4 miastach: w Moskwie, Leningradzie, Kijowie i Charkowie. Było to więc tempo dość zawrotne, jeśli się do tego doda godziny konieczne na ćwiczenia oraz pokonywanie tamtejszych odległości. Tak więc ja, poświęcony był wyłącznie muzyce naszego wielkiego kompozytora, muzyce tak bardzo popularnej w Związku Radzieckim. Brał w nim udział również artysty radzieccy, jak pianista Murawlow, Gusewa, jak znany muzykolog Geuza i in.

Ale prócz recitali chopinowskich dawałam tam również recitale do mieszana: więc Bach, Beethoven, Mozart. Wykonałam również koncerty symfoniczne Mozarta, Griega oraz — e-moll Chopina. — Wymienione przez pa-

nią nazwiska kompozytorów świadczą o tym, jak szeroki wachlarz repertoriowy musi posiadać wyjeżdżający za granicę artysta. I jak wielka na nim ciąży odpowiedzialność: ktoś nie posiadający „stradwale” rutyny i wyrobienia, nie podola chyba wysiłkowi 12 koncertów w tak krótkim okresie czasu...

Przyznam szczerze, że z wszystkich zagranicznych tournée to było bodajże najbardziej „pracowite”. Ale rzecz dziwna: nie czułam niemal zmęczenia. Ot, taki przykład: po recitalu w Kijowie siedział od razu o jedenastej wieczór do fortepianu. Trzeba było odczytać koncert Chopina i Mozarta, gdyż najazutem miałam już zapowiedzianą próbę z orkiestra. Mimo to na drugi dzień, już po wykonaniu tych 2 koncertów przed kijowską publicznością, nie czułam wyczerpania. Dlaczego?

— Myślę, że na zmęczenie artysty wpływa nie tylko wykład fizyczny. Gdy mamy do czynienia z dobrą publicznością, doskonałą orkiestrą i instrumentami, wówczas odpada znaczna część ciężaru tremy i wysiłku. Tym też tłumacząc fakt, że tak dobrze grało mi się ostatnio w Związku Radzieckim. Bo należy podkreślić jedno: orkiestra leningradzka i moskiewska znajduje się na najwyższym poziomie artystycznym. Nie trzeba tu tracić sił ani czasu na zbyt przewlekłe próby... To samo da się powiedzieć o instrumentach: są znakomicie! I to nie tylko w wielkich salach filharmonii, czy konserwatorium moskiewskiego, również fortepiany mając na Dom Kompozytora w Moskwie, czy Dom Aktora w Leningradzie. Gdy do nich siadałam, mimo woli powracałam myślą do Polski.

Do naszych zwytych fortepianów filharmonii poznańskiej czy krakowskiej. Cała nadzieja, że odizolujemy teraz dobre instrumenty po konkursie Chopina!

— Wspomniała pani przed chwilą o ważnym dla artysty czytelniku reakcji widzów, publiczności... — Publiczność radziecka należy niewątpliwie do jednej z najlepszych. Jest bardzo serdeczna, muzyczna. Witała mnie jak dobrą i starą znajomą. Imponuje ogromna fre-

wencja. Mimo trzech poprzednich występów w Moskwie, podczas ostatniego recitalu w sali moskiewskiego konserwatorium wszystkie miejsca były ściśle wypełnione! A pamiętajmy, że w Moskwie czy Leningradzie każdego dnia odbywa się po kilka koncertów! Daje to obraz umasożenia kultury muzycznej w Związku Radzieckim.

— Mówiłam przed chwilą o ostatnim, pożegnalnym recitalu w Moskwie. Był on dla mnie o tyle miły, że składał mi po nim serdeczne gratulacje Richter, którego wspaniałą grę szczerze podziwiam. Po tym również koncercie ukazała się recenzja znanego krytyka i Mozarta, gdyż najazutem miałam już podczas mej poprzedniej wizyty w Związku Radzieckim i wyrażał miła dla mnie opinię, że w grze mojej dostrzegł efekty stałej pracy nad doskonaleniem warsztatu pianistycznego.

— Zapewne po tym ostatnim koncercie spleczyła się pani do Warszawy, na Konkurs Chopinowski... —

— Fragmentów tego konkursu słuchałam ze zrozumiawym zainteresowaniem przez radio. A do Warszawy zadrzyłam sam „finisz”. Przyznam szczerze, że był on dla mnie oardzo emocjonujący. Podczas ostatnich dni konkursowych spotkałam mnie również miła propozycja: goszczący w Warszawie kierownik muzycznego insytmu w Pradze zaproponował mi nagranie na płytę, na tzw. „long-play”. Z zaproszenia oczywiście chętnie skorzystałam!

— Czy wizyta ta nie będzie kolidowała z projektowanymi wyjazdami do Jugosławii? — Do Pragi zajadę wracając z Jugosławii, dokąd wybieram się w połowie kwietnia. Nie trzeba chyba podkreślać, że z wielkim zainteresowaniem oczekuję tego wyjazdu: będzie on stanowił jedno z pierwszych ogniw w nawiązaniu ściślejszych stosunków kulturalnych z Jugosławią...

— Na pewno przywiezie pani z tego tournée artystycznego bogate wrażenia i wspomnienia. I miejmy nadzieję, że zechce pani podzielić się nimi z naszymi czytelnikami. — rozmowę przeprowadził: (stef.)

Metamorfozy czy zdrada neorealizmu

WŁOSKA filmowa szkoła neorealizmu należy do najwybitniejszych zjawisk kulturalnych, z jakimi spotkaliśmy się po II wojnie. Nie tylko z racji swego zasięgu, którym objęła cywilizowane kontynenty, ale i głębi nurtu, jakim przeorała najbardziej masową ze sztuk.

Jeżeli lata 1945 — 48 były okresem wspaniałego rozwoju tej szkoły, to nie tylko dlatego, że ogromna pasja twórcza kazała artystom tworzyć dzieła będące zastępczym społecznym mitów komercyjnych, ale że klimat ideologiczny i artystyczny leżał u podłoża tej atmosfery. W latach kiedy lewica współdziałała w rządzeniu krajem, można było mówić o własnych, tragicznych doświadczeniach, zamykać je w formy sztuki. Ogromna pasja mówienia prawdy była gorzkim pokwitowaniem błędów przeszłości i odkryciem tęsknoty za nowym jaśniejszym światem, była wyrazem wolności, jaka zapanowała na krótko nad brzegami Adriatyku. „Entuzjazm lat powojennych wiązał się z wiarą, że na gruzach starego świata powstanie świat nowy, lepszy i sprawiedliwszy. Realistyczny film włoski z pasją włączył się w walkę o ten lepszy świat. Pokazując tragizm wojny, krzywdę społeczną, miał tę namietność demaskatorską, która wynika zawsze z nadziei, że zło zostanie przewyżczone. Nadzieja ta zawiodła. Odradzający się stary porządek coraz zaciekłej walczy z tą niewygodną prawdą, którą osłaniali nasi artyści” — pisał krytyk Ugo Casiraghi.

Opanowanie władzy przez chadecję, wejście w życie planu Marshalla, przystąpienie do Paktu Atlantyckiego — oto fakty, które zasadniczo wpłynęły na strukturę życia polityczno — społecznego Włoch na przełomie lat 1948 — 49. Od tego czasu na stanowisku delegatów rządu do spraw kinematografii poczuli się pojawiać albo potencjalni dawniej faszystowskiej kinematografii, jak Giulino, czy fanatyczny chadecji typu Andreotti, De Pirro czy Ponti. Amerykański kapitał za zarobione na eksploatacji ekranów włoskich pieniądze powiększył portfele posiadanych akcji we włoskim przemyśle filmowym. Wprawdzie ustawy rządowe ratują kinematografię narodową zobowiązując kina do wyświetlania wyłącznie filmów włoskich w ciągu 80 dni w roku, a banki finansują w 60 proc. rodzimą produkcję. Jednocześnie jednak w ten sposób stworzono monopol produkcyjny, który pozwala niemal na dyktando tworzyć twórczością. Jeżeli w latach 1945 — 48 możliwe było powstanie filmów „Paisa”, „Dzieci ulicy”, „Tragiczny pościg”, „Złodzieje rowerów”, a nawet później, w latach 1951—52 takich filmów jak „Umberto D” czy „Rzym, godzina 11” — to dziś poprzez Scyllę i Charybdę cenzury politycznej nie przecisnąć się film, który choćby w części miał tak ostre akcenty aktualnej krytyki społecznej. Gorsza jednak jest jeszcze ta niewidzialna, przewencyjna cenzura, która w obawie o nieposzlakowane oblicze wobec chadecckiej praworządności nie pozwoli producentowi na wkład kapitału w dzieło o sprzecywanym, zbyt wyraźnie postępowym obliczu politycznym. Bardziej jeszcze perfidna jest metoda presji, tworzenia atmosfery bojkotu, prób zastraszania, wprowadzenie czarnych list twórczych pracowników filmu.

Pamiętne zostaną wystąpienia pośła Andreotti, atakującego w uwielbionym przez niego sposób jednego z najwybitniejszych twórców filmowych — De Sicię za prawdę jego dzieł, które rzekomo hańbią Włochy w oczach zagranicy. Protest Aristarco — Renzi w sprawie opublikowania scenariusza o okrucieństwach faszystów w latach ostatniej wojny, zakaz sprzedaży za granicę takich filmów, jak „Uwaga bandyci”, „Ulica ubogich kochanków”, „Miłość w mieście”, „Toto i Karolina” czy „Wilezyca” — oto część charakterystycznych przejawów walki z postępowymi twórcami filmu włoskiego. Senator De Pirro w ubiegłym roku oświadczył wobec prasy, że cała jego polityka w stosunku do produkcji filmowej ogranicza się do czuwania, by „pompoc demokratycznego państwa nie mogła być wykorzystywana przeciwko demokracji”. Oczywiście, nie potrzeba wysiłku nawet, by rozsyfrować całą obłudę tego oświadczenia, które formalnie sankcjonuje wszelkie posunięcia zmierzające do położenia kresu rozwojowi realistycznego nurtu we włoskiej kinematografii.

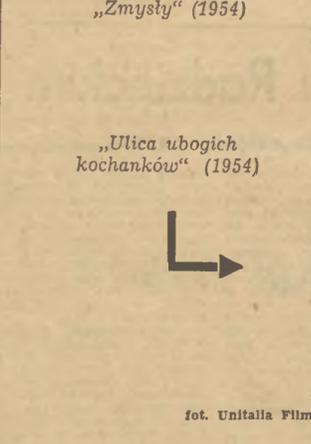
Kiedy twórcy szkoły neorealizmu zjechali się w końcu 1953 roku w Parmie dla przedyskutowania węzłowych zagadnień spraw neorealizmu włoskiego — to koła konserwatywne w kilka miesięcy później zorganizowały konferencję w Varese, na której oficjalnie usiłowano odprawić requiem nad neorealizmem. Ukazanie na ekranach filmu „Zmysły” było okazją do odkrycia ponownego zgonu, a to z racji poruczenia tematu współczesnego i przejścia do historii. Oczywiście nie przeszkodziło to półoficjalnemu bojkotowaniu filmu Viscontiego przez czynniki rządowe, pominięciu go milczeniem przez jury festiwalu w Wenecji (który to werdykt

spotkał się z żywiołowym protestem nawet wyfranczonej widowni pałacu festiwalowego) czy prób utracenia go przez cenzurę. Uratował film ten tylko prestiż finansowy jednej z najpotężniejszych wytwórni włoskich Lux-Film, która nie chciała ryzykować, nawet dla politycznych celów, już zainwestowanych kapitałów.

Jako że na świecie pełno paradoksów — oto jeden z nich o filmie włoskim. Skoro subwencje rządowe pozwoliły doprowadzić roczną produkcję filmów włoskich do 180 tytułów i uczynić z kinematografii włoskiej nie tylko największy ośrodek produkcyjny w Europie, ale potęgę doskonale rywalizującą z Hollywoodem na rynkach międzynarodowych — to gdzież dążenie do zniszczenia filmu włoskiego? Ale takie stawianie sprawy ma wartość tylko retoryczną. Tak jak tylko retoryczną wartość posiadają te wszystkie kampanie prasowe i wystąpienia, które od lat obwieszcza



„Zmysły” (1954)



„Ulica ubogich kochanków” (1954)

światu i własnej publiczności o kryzysie i upadku narodowej, neorealizmu włoskiego. Ludzie są tacy jacy są, bez żadnych ozdóbek. Ale jednocześnie „Umberto D” wydaje się ostatecznym zamknięciem i ukoronowaniem tego „dokumentarnego” stylu. Jego prostota stała się tak wyrafioną, że każdy krok dalej groziłby już naturalizmem czy manierą.

Film ten jest we włoszech mało popularny i na podobną tonację oskarżenia nie pozwoli także dzisiaj cenzura, a bank państwowy czy nawet prywatny producent nie zatnułoby swych kapitałów. Styl De Sici zresztą ulegał wielu innym powikłaniom i zrywkom, jego wyrazem był np. „Cud w Mediolanie”, gdzie postępową wymowę filmu zamazywał twórca w odrzalnym jakimś ogólnouniwersalistycznym widzeniu świata.

Charakterystyczne będą także przemiany twórczości drugiego wielkiego twórcy włoskiego Luchino Viscontiego. Kiedy zrealizował on w 1948 r. film „Ziemia drzy” nie ulegał wątpliwości, że „dokumentalny styl” szkoły neorealizmu doprowadzony został do formalnej perfekcji. Rzeczywistość odarła tu z najbardziej nawet smaczków w swojej wymowie plastycznej, daleka jednak była od surowości „Opętania”. Ładunek polemiczny „Ziemia drzy” był tu jakby sam stylizacyjnym rozwiązaniem, dalekim od gwałtowności pierwszych dzieł szkoły neorealizmu. Jednocześnie w „Ziemia drzy” nastąpiło pierwsze spotkanie literatury realizmu krytycznego z filmem. I choć daleki jest od imputowania filmowi cech adaptacji powieści Vergi, wydaje mi się, że tu nastąpił moment zwrotny, w którym dorobek kultury narodowej spot-

kał się ze współczesnością, gdzie zaczęły powstawać pojęcia o stworzeniu nowego stylu, który jest w filmie bądź co bądź wypadkową szeregu dyscyplin artystycznych.

Następny film Viscontiego „Najpiękniejsza” (1951) daleko odbiegał od dokumentarnych założeń stylu i w jego atmosferze czuć było wyraźnie, to co się nazywa literacką fikcją. Visconti tu wyraźnie eksperymentował. Jego technika formalna była niezaganna a nawet oświecająca, film jednak w całości robił wrażenie jakiejś mechanicznej doskonałości. Techniczna sprawność i zbytnia literackość w budowaniu fabuły, wprowadzenie narracji, rola detalu czy atmosfery zbyt stylizowały rzeczywistość. Eksperyment spotkał się z dużą obojętnością. Zresztą był to rok, w którym apogeum neorealizmu stało się „Umberto D” i „Nadzieje za dwa grosze”. Pierwszy wieniec pewien rodzaj poetyki filmowej, drugi otwierał nowe perspektywy stylistyczne dla neorealizmu.

WLATACH tych elitarny charakter szkoły narodowej ulegał zmianie. Do jej szeregu wkraczał coraz nowi twórcy i, jak w wypadku Castellaniego, zapoczątkowały sukcesy neorealizmu w pomijanej dotychczas komedii. Przełom lat 1951—52 jest nie tylko przełomem w dziedzinie ilościowej produkcji Włoch, ale przełomem w dziedzinie wpływów neorealizmu na całą twórczość filmową. W kręgu wybitnych prekursorów szkoły narodowej filmu włoskiego tworzy się wiele dzieł, które będą dowodem, że film neorealizm stał się w kierunku powszechnym. Wprawdzie będą przetrwały przeróżne maniere a la neorealizm i wypaczenia, wprawdzie dalej produkować się będzie kosmopolityczna zmiara, ale wszystkie poważniejsze filmy będą obracać się w orbicie tych zasadniczych dzieł. Nie jest również bezpodstawny fakt, że właśnie w tym okresie przypada największe nasilenie ataków na wszystkie, co postępowe w filmie włoskim. Coraz bardziej kurczyła się wolność — stąd poszukiwania i próby znalezienia wyjścia z tej sytuacji.

Dokumentaryzm, który był fundamentalnym składnikiem teorii Zavattiniego, w tej sytuacji politycznej nie wystarczał. Ukazywanie walki toczącej się aktualnie w formie kronikalnej było niemożliwe. W okresie tym, tylko „Rzym, godzina 11” De Santisa (1952) jest wyrazem pogłębienia tendencji postępowych i prób szukania nowych rozwiązań stylistycznych. De Santis na podstawie dokumentarnego faktu buduje bogatą fabułę literacką. Ale później długo nie, jakieś wahania, szereg dobrych przeciętnych czy nawet miernych filmów, ale zupełnie brak arcydzieł. Adaptacja „Paszczka” Gogolewskiego przez Lattuada (1951). Zupełne zerwanie z neorealizmem przez Rosselino, dalej sentymentalny romans



„Ziemia drzy” (1951)

wyabstrahowany z rzeczywistości społecznej „Stazione Termini” De Sici. Kameralny i konwencjonalny film De Santisa „Mąż dla Anny Zaccaro”. Jałowy i naturalistyczny film o deprawacji młodzieży „Zwycięzcy” Antonioniego. Bardzo stylizowany literacko ale i ciekawy formalnie Felliniego „Cielece lata”. Popularny i wyraźnie pozostający pod wpływem Castellaniego „Chleb, miłość i fantazja” Comenciniego. Ten zresztą ton komediowy jest dominujący i przebija poprzez wiele innych pozycji, ale to wszystko nie są bynajmniej symptomy kryzysu neorealizmu, tylko jakiegoś formalnego przejścia.

Rok 1954 przyniósł wyjaśnienie w tej sytuacji i szereg wybitnych dzieł ukazuje, w jakim kierunku popłynął nurt neorealizmu. Na początku roku głównym echem odbiła się premiera „Ulicy ubogich kochanków” Lizzanego. Lizzani w oparciu o znany utwór literacki Prataliniego stworzył wspaniały epizod walki mieszkaniowej florenckiej uliczki z faszystami w latach 1926. Film daleki był od jakiegokolwiek literackości czy kopiowania powieści. Surowy w swoim stylu plastycznym był jednocześnie niesłychanie zdyscyplinowany formalnie i podporządkowany kanonom dramatycznym. Był

samoistnym dziełem filmowym o zindywidualizowanym języku.

Później przyszło słynne Biennale — słynne z racji bojkotu „Zmysłów” Viscontiego. Cóż powiedzieć w paru zdaniach o tym filmie? Jest to niezmiernie trudne. Jest to bowiem wybitne osiągnięcie sztuki filmowej i jako takie niezwykle bogate w treści. Pozornie to historia romansu arystokratki wiojskiej z oficerem austriackim w czasach Resurgimenta — a w istocie ukazanie wielkich namietności ludzkich na kanwie wydarzeń historycznych, dzieje kochanków jako historyczny komentarz epoki. To nie obrazek z dziejów oczyszczonych, ale historyczna powieść filmowa jakiej odpowiednikiem literackim będzie „Anna Karenina”, czy „Wojna i pokój”.

Visconti jak wielcy mistrzowie realistycznej prozy, Balzac czy Tołstoj, realistycznie w wydarzeniach i opowiada dzieje swoich bohaterów. To nie Zavattini i De Sica, którzy jak Zola opisywali tylko. Visconti oparł się zasadniczo na noweli Boito, ale bardzo ją przerobił dla potrzeb ekranu, niemniej pozostał wierny zasadniczej kompozycji fabuły. Język filmu jest niezwykle bogaty. Przed wszystkim zwraca uwagę jego wspaniała wizja plastyczna epoki, dalej będą walory dramatyczne, aktorskie. Nie oznacza to wszystko, aby film nie miał błędów. Są one, ale nie istotne w tym wielkim nurcie stylistycznym, jaki tworzył wokół siebie Visconti — w nurcie opartym o realistyczną klasykę literacką.

„Zioto Neapolu” De Sici — to historia złożona z 6 epizodów opartych na nowelach włoskiego pisarza Marottę. W stylu swym film ten daleki jest od surowości „Złodzieje rowerów” czy „Umberto D”. Jest w nim coś, co zwykłym określeń mianem filmu populistycznego: prostota pełna komicznych, sentymentalnych czy tragicznych wtrętów, które jednak w całości dają od szeregów ciepły ton, nawet gdy się mówi o sprawach smutnych. Z tych nowel filmowych bije jakby prusowska dobroć i pogoda, a jednocześnie bystrość spojrzenia.

„Dni miłości” De Santisa są wprawdzie oparte na oryginalnym scenariuszu, ale historia dwojga młodych, którzy z racji ciężkiego położenia materialnego, aby uniknąć opłat za formalności ślubne i pertraktacji rodzin, stwarzają pozory faktu dokonanego — przebiegają na sposób komedii dell'arte i opery buffo.

AWIĘC to nie tylko zagadnienie adaptacji czy ucieczka od rzeczywistości. Tu chodzi o wypracowanie własnego stylu w oparciu o literaturę i sztukę. Językiem współczesnej literatury stał się film, zaś literatura stanowi jego duszę — i wydaje mi się, że film włoski doszedł do tej właśnie prawdy. Neorealizm nie zamarł, ale narwał w swych nowych, trudnych warunkach do tradycji literatury narodowej i w ten sposób chce pogłębić swój styl. Nie mam zamiaru odmawiać włoskim twórcom oryginalności, ale wydaje mi się, że starają się oni wypracować własny styl w oparciu o literaturę i sztukę, tak jak to robiła szkoła francuska lat trzydziestych. Neorealizm w obecnej fazie dąży do wypracowania własnej, specyficznej atmosfery: nie wystarczy nam tylko wierny dokumentaryzm, szuka pogłębienia swych dotychczasowych koncepcji stylistycznych. I stąd odwrót do literatury, do własnej historii. Sukcesy takich właśnie filmów jak „Zmysły”, „Ulica ubogich kochanków”, „Zioto Neapolu”, „Stracony patrol”, „Dni miłości” i „Romeo i Julia”, który jest przecież nie tylko elzbietańskim dramatem i niezbyt udaną adaptacją szekspirowską, ale wielkim freskiem renesansowej kultury włoskiej — wydaje się drogę tę potwierdzając — drogę metamorfoz, a nie zdrady. Zmiany formalne bowiem mogą przebiegać tu jak najbardziej różnorodnie. Chodzi jedynie o utrzymanie jej w ryzach realistycznej poetyki. A ten postulat czołowe filmy neorealizmu stały najbardziej wypełniając. A poza tym jest walka i to przesądza o istocie istnienia tej szkoły.

„Zioto Neapolu” De Sici — to historia złożona z 6 epizodów opartych na nowelach włoskiego pisarza Marottę. W stylu swym film ten daleki jest od surowości „Złodzieje rowerów” czy „Umberto D”. Jest w nim coś, co zwykłym określeń mianem filmu populistycznego: prostota pełna komicznych, sentymentalnych czy tragicznych wtrętów, które jednak w całości dają od szeregów ciepły ton, nawet gdy się mówi o sprawach smutnych. Z tych nowel filmowych bije jakby prusowska dobroć i pogoda, a jednocześnie bystrość spojrzenia.

„Dni miłości” De Santisa są wprawdzie oparte na oryginalnym scenariuszu, ale historia dwojga młodych, którzy z racji ciężkiego położenia materialnego, aby uniknąć opłat za formalności ślubne i pertraktacji rodzin, stwarzają pozory faktu dokonanego — przebiegają na sposób komedii dell'arte i opery buffo.

AWIĘC to nie tylko zagadnienie adaptacji czy ucieczka od rzeczywistości. Tu chodzi o wypracowanie własnego stylu w oparciu o literaturę i sztukę. Językiem współczesnej literatury stał się film, zaś literatura stanowi jego duszę — i wydaje mi się, że film włoski doszedł do tej właśnie prawdy. Neorealizm nie zamarł, ale narwał w swych nowych, trudnych warunkach do tradycji literatury narodowej i w ten sposób chce pogłębić swój styl. Nie mam zamiaru odmawiać włoskim twórcom oryginalności, ale wydaje mi się, że starają się oni wypracować własny styl w oparciu o literaturę i sztukę, tak jak to robiła szkoła francuska lat trzydziestych. Neorealizm w obecnej fazie dąży do wypracowania własnej, specyficznej atmosfery: nie wystarczy nam tylko wierny dokumentaryzm, szuka pogłębienia swych dotychczasowych koncepcji stylistycznych. I stąd odwrót do literatury, do własnej historii. Sukcesy takich właśnie filmów jak „Zmysły”, „Ulica ubogich kochanków”, „Zioto Neapolu”, „Stracony patrol”, „Dni miłości” i „Romeo i Julia”, który jest przecież nie tylko elzbietańskim dramatem i niezbyt udaną adaptacją szekspirowską, ale wielkim freskiem renesansowej kultury włoskiej — wydaje się drogę tę potwierdzając — drogę metamorfoz, a nie zdrady. Zmiany formalne bowiem mogą przebiegać tu jak najbardziej różnorodnie. Chodzi jedynie o utrzymanie jej w ryzach realistycznej poetyki. A ten postulat czołowe filmy neorealizmu stały najbardziej wypełniając. A poza tym jest walka i to przesądza o istocie istnienia tej szkoły.

„Zioto Neapolu” De Sici — to historia złożona z 6 epizodów opartych na nowelach włoskiego pisarza Marottę. W stylu swym film ten daleki jest od surowości „Złodzieje rowerów” czy „Umberto D”. Jest w nim coś, co zwykłym określeń mianem filmu populistycznego: prostota pełna komicznych, sentymentalnych czy tragicznych wtrętów, które jednak w całości dają od szeregów ciepły ton, nawet gdy się mówi o sprawach smutnych. Z tych nowel filmowych bije jakby prusowska dobroć i pogoda, a jednocześnie bystrość spojrzenia.



„Zioto Neapolu” (1954)

„Zioto Neapolu” De Sici — to historia złożona z 6 epizodów opartych na nowelach włoskiego pisarza Marottę. W stylu swym film ten daleki jest od surowości „Złodzieje rowerów” czy „Umberto D”. Jest w nim coś, co zwykłym określeń mianem filmu populistycznego: prostota pełna komicznych, sentymentalnych czy tragicznych wtrętów, które jednak w całości dają od szeregów ciepły ton, nawet gdy się mówi o sprawach smutnych. Z tych nowel filmowych bije jakby prusowska dobroć i pogoda, a jednocześnie bystrość spojrzenia.

Naturalnie, obok rzeczywistości bardzo groźnej agresji krzyżackiej, ekspansja brandenburska osłabiała opór Polski na zachodzie i północno-zachodzie, lecz sama przez się nie stanowiła poważniejszego niebezpieczeństwa. Wydało się, że trafniejsza byłaby konstrukcja stawiająca wyraźnie na pierwszym miejscu zagrożenie ze strony potężnego nacisku krzyżackiego, z dodaniem że wszystkie inne napaści, ze wschodu i zachodu, przyczyniły się dodatkowo do aktywności procesu zjednoczeniowego w obliczu konieczności samoobrony narodowej.

W ostatniej części dzieła ciekawe są uwagi Baszkiewicza na temat szerzącego się wówczas kultu świętych narodowych św. Stanisława, św. Wojciecha i św. Jadwigi; kult ten był ideologicznym wyrazem aspiracji społeczeństwa polskiego dążącego do jedności narodowej; każdy z tych kultów reprezentował koncepcję dokonania tego zjednoczenia w oparciu o inną dziedzinę, pretendującą do roli kierowniczej (Małopolska, Wielkopolska i Śląsk). Zatrzymał kult św. Stanisława, gdyż centralnym ośrodkiem monarchii ostatnich Piastów stał się Kraków.

ZASŁUGUJE zawsze na uwagę, gdy młody, obiecujący naukowiec publikuje swoją pierwszą pracę. Debiut taki wart jest specjalnego omówienia, zwłaszcza gdy mamy do czynienia z dziełem tak powagnym, jak „Powstanie zjednoczonego Państwa Polskiego, na przełomie XIII i XIV wieku”, które ukazało się niedawno i stanowi tom pierwszy wznawionego serii „Studiów nad historią Państwa i Prawa”.

Jan Baszkiewicz, specjalizujący się w historii ustroju Polski, otrzymał w zeszłym roku tytuł kandydata nauk właśnie na podstawie wspomnianej pracy, wyjaśniającej procesy scałania się naszego terytorium narodowego za czasów Łokietka. Niezwykle interesujące jest to książka wrecz wybitna, potwierdzająca opinię, że autor należy do czołowych przedstawicieli adekwatnej wiedzy historycznej środowiska Uniwersytetu Warszawskiego.

Omawiana praca porusza temat ważny i ciekawy, dotyczy bowiem przełomu w naszych dziejach fakty, przekształcając stałe feudalne rozbiorczy Polki w zjednoczone i w zasadzie jednolite państwo stanowe. W dotychczasowej literaturze historycznej tego okresu wyróżniała się jedynie podstawowa monografia prof. Stanisława Wójcicha „Królestwo Polskie”, lecz ograniczała się ona tylko do gruntownego przeanalizowania ustrojowego aspektu zagadnienia, bez wyjaśnienia podstaw gospodarczych i społecznych, które stworzyły realne możliwości zjednoczenia.

Baszkiewicz położył nacisk na tę właśnie stronę problemu wykluczając, że dążenie do zjednoczenia się ziem polskich było wynikiem rozwoju gospodarczego i społecznego kraju, z tym, że proces ten został w danym okresie przyspieszony przez istniejące wówczas w ostrych formach zagrożenie zewnętrzne. Teza autora, poparta argumentami z wytrawnie opracowanego materiału źródłowego oraz bardzo trafną polemiką z formalistycznymi i nacjonalistycznymi koncepcjami dawnej historiografii zarówno polskiej, jak i niemieckiej — jest całkowicie przekonująca i stanowic będzie trwałą dorobek naszego dziejopisarstwa. Jednakże można mieć pewne zastrzeżenia w stosunku do analizy czynników składających się na ówczesne zagrożenie zewnętrzne ziem polskich.

Baszkiewicz stoi na stanowisku, że najeźdźcy ze wschodu, tzn. tatarskie, litewskie i ruskie, nie odegrały większej roli, gdyż miały charakter jedynie doradczych wypadów rabunkowych i nie dążyły do oderwania poszczególnych części naszego terytorium narodowego. Natomiast jako podstawowe niebezpieczeństwo uznaje on agresję germańską zarówno jawną, jak i ukrytą.

Zalicza do niej antypolską działalność cesarzy niemieckich, ekspansję zaborczą Marchii Brandenburskiej, agresywne poczynania Zakonu Krzyżackiego oraz infiltrację na ziemach polskich niemieckich elementów feudalnych i bogaćców patrycjatu kupieckiego, ułatwiająca działanie agresywne z zewnątrz. Jako dodatkowy czynnik niebezpieczeństwa zewnętrznego autor traktuje plany dynastyczne Luxemburgów, opierających się w Czechach na elementach niemieckich i niemieckich, a pragnących zjednoczyć ziemie polskie pod swoim berłem.

W zasadzie ocena przez autora czynnika najeźdźcy ze wschodu jest trafna i słusznie sprowadza do należytych rozmiarów często przesadnie wyolbrzymiane „niebezpieczeństwo tatarskie”. Nie należy jednak nie doceniać faktu — podkreślonego przez Baszkiewicza — że najeźdźcy te nie mogły być odparcie siłami tylko jednej dziedziny, a więc musiały one wywierać większy, niż sądzi autor, wpływ na kształtowanie się poczucia konieczności zjednoczenia narodowego. Logicznym odpowiednikiem tego będąc nadmierne akcentowanie niebezpieczeństwa germańskiego, traktowanego jako swego rodzaju jednolita całość.

Wrecz niebezpiecznym jest wyolbrzymienie akcji cesarzy niemieckich, którzy w danym okresie nie przedstawiali już dla naszej państwowości tak groźnego, jak poprzednio, czynnika politycznego, ponieważ pochłonęli byli stwarzaniem możliwie dużych kompleksów państwowych dla swych dynastii.

Przesadzone zostało również niebezpieczeństwo w tym czasie (przełom XII—XIV w.) ekspansji Brandenburskiej, która co prawda próbowała jeszcze odrywać poszczególne tereny Pomorza i Wielkopolski, lecz właśnie wtedy przesyłała czasy powolnego osłabienia wewnętrzne, na tle bardzo ostrych walk stanowych.

Naturalnie, obok rzeczywistości bardzo groźnej agresji krzyżackiej, ekspansja brandenburska osłabiała opór Polski na zachodzie i północno-zachodzie, lecz sama przez się nie stanowiła poważniejszego niebezpieczeństwa. Wydało się, że trafniejsza byłaby konstrukcja stawiająca wyraźnie na pierwszym miejscu zagrożenie ze strony potężnego nacisku krzyżackiego, z dodaniem że wszystkie inne napaści, ze wschodu i zachodu, przyczyniły się dodatkowo do aktywności procesu zjednoczeniowego w obliczu konieczności samoobrony narodowej.

W ostatniej części dzieła ciekawe są uwagi Baszkiewicza na temat szerzącego się wówczas kultu świętych narodowych św. Stanisława, św. Wojciecha i św. Jadwigi; kult ten był ideologicznym wyrazem aspiracji społeczeństwa polskiego dążącego do jedności narodowej; każdy z tych kultów reprezentował koncepcję dokonania tego zjednoczenia w oparciu o inną dziedzinę, pretendującą do roli kierowniczej (Małopolska, Wielkopolska i Śląsk). Zatrzymał kult św. Stanisława, gdyż centralnym ośrodkiem monarchii ostatnich Piastów stał się Kraków.

Zjednoczone zastrzeżenia nie pomniejszają fundamencie wstępnego dzieła. Jest to pionierska praca w nowym traktowaniu rozwoju naszych dziejów, a sam autor niejednokrotnie zaznacza, że stawia jedynie szereg zagadnień, które wymagają jeszcze głębszego opracowania. W każdym razie witamy nowego, poważnego historyka.

Szymon Dereń

Redaguje Zespół. Prenumerata miesięczna 4 zł. Kwartałna 12 zł. Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43; tel. 8-60-11 (15). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przysyłajcie do: Urzędu pocztowe o nr 4 listonosze Zakładu Drukarskiego i Wkiesłodrukowe RSW „Prasa” w Warszawie, Marszałkowska 3/5. Zam. nr 833. B-6-3930